

NASZE

ŻYCIE

Cena 20 sant

PÓLSKI TYGODNIK ILUSTROWANY

Rok III

Ryga, 8 sierpnia 1937 r

Nr 32 (138)

M. Miż-Miszyn

Czytelnik na cenzurowanem

Sprawa czytelnictwa, poruszona m. in. przez p. mm w jednym z jego felietonów „na niedzielę” (patrz Nr. 133 „N. Ż.” z dnia 4. lipca b. r.), jest — jeśli chodzi o nasze społeczeństwo w Łotwie — nie tylko sprawą niezmiernie ważną, ale też sprawą niezmiernie niepokojącą.

Nie umiemy, nie chcemy, a najprawdopodobniej nie odczuwamy potrzeby czytania swojej prasy w ojczystym języku na terenie wydawanej. Historia tej prasy zresztą z punktu widzenia ustosunkowania się do niej naszego przeciętnego czytelnika jest wielce interesująca. Obfituje ona w tragiczne wprost wysiłki osób czy instytucyj, rozpoczynających wydawnictwo, podejmowane w walce o czytelnika.

Imano się najprzeróżniejszych metod i sposobów, wydawnictwa przybierały różnorakie formy — od miesięcznika po przez dwu- i tygodniki aż do dziennika włącznie.

I wszystko na nic. Czytelnik nie zwracał uwagi na swoje pismo, skarżąc się lub utyskując, najczęściej jednak przechodził obojętnie.

Z góry musimy oświadczyć: stosunek Czytelników do „Naszego Życia” w zestawieniu z poprzednio ukazującymi się pismami — zwłaszcza jeśli chodzi o ilość prenumeratorów i ilość współpracowników pisma na terenie — poprawił się znacznie.

Wysiłek włożony w pismo zrobił swoje: zyskuje ono coraz liczniejszych sympatyków i gorących zwolenników, zniechęcając nawet obojętnych i mniej lub bardziej (z tego czy innego, najczęściej o charakterze osobistym, względu) niechętnych do przyznania, że pismo jest postawione na należytych poziomach, że kierunek jego jest właściwy, że — wreszcie — jest ono lepsze od tych, które ukazywały się na terenie dotychczas.

Ale to nie wszystko. Do epoki laurach jest jeszcze ogromnie daleko. Bo to, co powiedzieliśmy pozytywnego, dotyczy raczej nielicznej, bardzo —

niestety — nielicznej garstki (w porównaniu z ową oficjalną cyfrą przeszło 50.000 Polaków w Łotwie) osób, których cechą wspólną jest naturalna potrzeba czytania pisma w języku ojczystym, wydawanego w środowisku, które zamieszkują.

Jak jest z resztą, a właściwie z tą większością, na której żadne prośby nie czynią wrażenia, wszystkie apele pozostają bez odpowiedzi?

Co myśli ta większa połowa, ta przeważna połowa, miąż, masa?

Zwykły analfabetyzm jest niebezpiecznym zjawiskiem. Zerując na ciele narodów czy społeczeństw, pozostawia on w ich duszy niezatarty ślad nieuleczalnych chorób, spowodowanych tępą ciemnotą, której nocy nie rozwidni nigdy słowo w języku ojczystym drukowane. W odniesieniu jednak do naszego społeczeństwa, jak i do pozostałych społeczeństw Łotwy zamieszkujących, nie może być mowy o prostym, zwykłym, pierwotnym analfabetyzmie. Możemy się chlubić, że mieszkamy w państwie pozbawionym analfabetów. Jeśli jednak znajdzie się w państwie — jak i wśród nas — pewien nieznaczny odsetek analfabetów, to jest to chyba analfabetyzm ukrywający się specjalnie, pozostałość z okresu niewoli, analfabetyzm nie mogący wchodzić w ogóle w rachubę.

Dodajmy do tego ten fakt, że zarówno wśród Łotyszów, włodarzy tej ziemi, jak i wśród Niemców, Rosjan, czy innych narodowości tu zamieszkujących — czytelnictwo, zwłaszcza prasy, jest rozwinięte do poziomu rzadko w innych państwach notowanego. W rękę każdego włościana, przyjeżdżającego na targ do Rygi czy innego miasta, ujrzymy „Jaunakas Zinias” czy „Briwa Zeme”, prawie każdy Niemiec czyta „Rigasze Rundschau”, każdy Rosjanin „Segodnia”, etc.

A my? Zdobyliśmy się — w myśl autorytatywnego zdania specjalistów w tym zakresie — na najpiękniejszy tygodnik wśród zagranicznych tygodników polskich na całym świecie, ale nie możemy u siebie, wśród najszerszych warstw własnego spo-

Napoleon mówił, że, by złamać przeszkody, nie trzeba ich uważać za przeszkody. Ten prosty sposób stanowił podstawę odwagi myśli i my, stając się nowatorami, znaleźliśmy odwagę myśli i powiedzieliśmy sobie, iż przeszkód, które chcemy przeskoczyć, nie będziemy uważali za przeszkody. I jeśli doszliśmy do tak wielkich wyników, dowodzi to, że obok odwagi myśli mieliśmy i odwagę pracy.

Mamy więc za sobą odwagę myśli i odwagę pracy — czynniki, które dają zawsze nowe życie i nowe prawdy.

JÓZEF PIŁSUDESKI

leczeństwa, znaleźć szerokiego koła czytelników.

Dlaczego?

Czyżbyśmy się znajdowali na fali analfabetyzmu powrotnego? Analfabetyzmu, który, choć nie jest w gruncie rzeczy, analfabetyzmem, bo umie czytać i pisać, to jednak jest analfabetyzmem tym gorszym i niebezpieczniejszym, że czytać ani pisać nie umie, czy zapomina, bo nie chce?

Gdyby w odpowiedzi na powyższe pytanie miałyby paść złowieszcze potwierdzenie — krótkie „tak” — rola pisma, w tym wypadku „Naszego Życia”, podniesiona być powinna do poziomu kapłaństwa, sprawianego na niezwykle ciężkim ugorze uporczywego i rozmyślnego zacołania.

Sądzić i wierzyć jednak należy, że w społeczeństwie naszym, z natury swej zdrowym i silnym, tkwią czynniki takich pozytywnych wartości, których wpływ weźmie górę nad bezmyślną falą powrotnej ciemnoty, niedoceniającej znaczenia swego własnego pisma w swoim ojczystym języku wydawanego. Niech ze więc widmo powrotnego analfabetyzmu, rodzącego się na złej woli i fałszywym stosunku czytelnika do swego pisma, pozostanie li tylko w sferze nietrafnych przypuszczeń, tym bardziej, że przecież czasy obecne są inne, i że właśnie cechą charakterystyczną tych czasów jest nakaz zjednoczenia myśli, serc i wysiłków dokoła jednej budowli, wznoszonej rękoma wszystkich chętnych i wierzących w powodzenie i zwycięstwo sprawy. A któż znajdzie się wśród nas taki, który poważy się kwestionować, że w szeregu spraw nas w Łotwie najbardziej i najbliższej obchodzących nie należy na jedno z naczelnych miejsc wysunąć sprawy pisma polskiego?

Dokoła więc tego naszego pisma, ukazującego się w wolnym i niepodległym Państwie Łotewskim, powinniśmy się skupić i zespolic, aby było ono nie tylko przybytkiem i skarbnicą naszego słowa ojczystego, ale też ożywczym słońcem opromieniającym naszą wspólną, zgodną, silną jednością Rodzinę Polską.



Prezydent Państwa dr. K. UŁMANIS odwiedził 1. b. m. obóz Mazpułków okręgu Jelgawskiego. Na zdjęciu powitanie Prezydenta Państwa przy wejściu do obozu

Kronika polityczna

— W związku ze zbliżającą się 60-tą rocznicą urodzin Prezydenta Państwa dr. K. Ułmanisa, wystosował On za pośrednictwem prasy wzywianie, w którym prosi o wstrzymanie się od składania Mu z tej okazji prezentów, upominków i t. p. dowodów pamięci. Tym, którzy jednak przagnęliby dzień ów specjalnie zaznaczyć, Prezydent Państwa wskazuje na Fundusz Młodzieżowy, Fundusz Ziemi Ojczystej oraz zapoczątkowaną budowę szkoły w powiecie Berzmuizskim, w miejscu urodzenia Prezydenta, jako poczynania natury kulturalnej, na które można składać ofiary.

— Według informacji Komitetu Budowy Placu Uzwaras sprzedano dotychczas biletów loteryjnych na ogólną kwotę Ls 375.000.

— Decyzją Gabinetu Ministrów z dnia 29. ub. m. zostały zlikwidowane 3 istniejące dotychczas w Łotwie (2 w stolicy, 1 w Liepai) prywatne instytucje komercyjne.

— 27. ub. m. przybył do Warszawy z wizytą do władz KOP'u (Korpusu Obrony Pogranicza) dowódca łotewskiej Brygady Granicznej gen. Bolsztejn. Towarzyszył mu naczelnik sztabu brygady płk. Kalniņš oraz kpt. Stražiņš. Goście bawili w Polsce 3 dni.

— 26. ub. m. do Tallina przybył z wizytą inspektor artylerii łotewskiej gen. Danenbergs w towarzystwie płk. Jomerta.

— Dnia 30. ub. m. do Tallina przybył szef Aizsargów łotewskich płk. Prauls.

— Z rewizytą do Łotwy przybyła 31. ub. m. delegacja dziennikarzy sowieckich składająca się z 6 osób. W skład

delegacji wchodzi przedstawiciele: „Prawdy”, rządowej sowieckiej agencji telegraficznej „TASS”, „Izwestij”, „Krasnoj Zvezdy”, prasy leningradzkiej i wydziału prasowego komisariatu do spraw zagranicznych.

WYSZEDŁ Z DRUKU i jest do nabycia podręcznik:

„Ra chunki”,

M. MAKOWSKIEGO

Drugi rok nauki na klasę I-szą dla polskich szkół podstawowych w Łotwie.

Wydawnictwo Związku Nauczycieli Szkół Polskich w Rydze

Cena Łs. 1.20

Zezwolony do użytku przez Ministerstwo Oświaty. Skład główny: KEMPE, Ryga, ul. Skolas 30.

...gospodarcza

— Gabinet Ministrów przyjął 22. ub. m. ustawę o rocznym odznaczaniu po 3 najlepszych rolników z Widzeme i Latgalii — oraz po 5 z Zemgalii i Kurzeme. W myśl ustawy o nazwie dobrego rolnika — gospodarza ubiegać się może rolnik, który wychowuje swoje dzieci w duchu patriotyzmu i umiłowania roli, wypełnia należycie swoje obowiązki wobec państwa i samorządu, gospodaruje w ramach samowystarczalności własnego gospodarstwa oraz zatrudnia w swoim gospodarstwie tylko miejscowych robotników.

Nagrodą dla tego rodzaju rolników, przedstawionych do odznaczenia Ministerstwu Rolnictwa przez miejscową organizację rolniczą za pośrednictwem Izby Rolniczej, będzie dyplom honorowy i honorowy upominek wartości Łs 500 —

— „Briwa Zeme” w jednym z niedzielnich numerów zamieszcza artykuł na temat konieczności zatrzymania pracowników rolnych na wsi przez ograniczenie ściąganych dotychczas w wielkiej ilości do miasta robotnic, zatrudnianych jako pokojówki, służące, kucharki etc. Pismo domaga się samowystarczalności miejskich gospodyń, wskazując na możliwość zatrzymania w taki sposób robotnic rolnych na wsi. Gdy apel wsi w tej sprawie nie został przez miejskie panie i gospodie wysłuchany, pozostanie „prosić Wodza i Rząd, aby w drodze ustaw” do zrealizowania tego postulatu wsi przyczynili się.

— Otwarcie nowego mostu na rzece Gauja w Siguldzie nastąpiło 25. ub. m. w obecności ministra Einberga, Munters'a i Apsitis'a.

Most oddany do użytku publicznego w Siguldzie jest największym żelazo-betonowym mostem w Łotwie. Budowę mostu rozpoczęto 25. września 1954. r. Długość mostu wynosi 153 mtr. Koszta budowy, wraz z kosztami nowowybudowanej szosy Sigulda — Turajda, wnoszą Łs. 740.000.

— Inspektor cen A. Dinsbergs ustalił w dniu 26. ub. m. wysokość kosztów centralnego ogrzewania w stolicy na Łs 9,— od pokoju bez używania łazienki z ciepłą wodą bieżącą oraz Łs 11,— od pokoju z używalnością łazienki nie mniej niż raz tygodniowo.

— Obecnie istnieje w Łotwie 3.800 zagranicznych przedstawicieli różnego ro-

TYDZIEŃ

dzażu firm i instytucyj o charakterze handlowo — przemysłowym, mających kontakt gospodarczy z Łotwą.

...kulturalna

— Według informacji Departamentu Poczto - Telegraficznego w r. ub. poczta łotewska przesłała 74.526.650 przesyłek, w czym 27.496.520 listów, 9.253.420 kart pocztowych, 22.833.730 czasopism etc. W porównaniu z rokiem 1953-ym, ilość przesyłek wzrosła prawie o 10 milionów. Jeśli chodzi o poszczególne części kraju, to stolica skierowała za pośrednictwem poczty 43.108.710 różnego rodzaju przesyłek, Widzeme — 7.815.420, Latgalia — 6.745.960, Kurzeme — 5.598.070, Zemgalia — 6.612.070 przesyłek skierowano za granicę.

— 20. ub. m. ogłoszone zostały warunki, jakim mają odpowiadać książki, wydawane dla użytku uczniów szkół podstawowych w Łotwie. Warunki te opracowane zostały przez specjalną komisję pod kierownictwem ministra Oświaty prof. A. Tentelisa. M. in. przewidują one, że książka wydana dla uczniów szkół podstawowych, ma ich zaznajomić z pięknem i historią Łotwy, z jej cechami charakterystycznymi, kulturą i stanem gospodarstwa narodowego, jak również przyczynić się do pogłębienia w sercach młodzieży miłości do ziemi ojczystej, miłości rodziców i starszych, oraz nauczyć młodzież dyscypliny, karność, ofiarności etc.

Ogólne nastawienie książki podkreślać powinno zasady wodzostwa i podporządkowania swoich własnych interesów interesom zbiorowości w życiu społecznym i państwowym.

— W Czechosłowacji ukazała się książka o Łotwie, której autorem jest redaktor jednego z pism czeskich K. Horstacza.

— W Estonii ukazała się w języku estońskim „Historia kultury łotewskiej”. Autorem książki jest jeden z dobrze znanych pisarzy estońskich Marcin Pukit.

...sportowa

— W gwiazdzistym zlocie samolotów do Paryża, który się odbył w związku z wszechświatową wystawą, jedyny samolot łotewski wyprodukowany w warsztatach VEF'u (Państwowej Fabryki Elektrotechnicznej) zajął w liczbie 54 samolotów innych państw dziesiąte miejsce.

— Kolejne spotkanie między państwowe reprezentacji Łotwy i Litwy w piłce nożnej, rozegrane 29. ub. m. w Rydze, zakończyło się zwycięstwem Łotwy w stosunku 4:2.

— Rozgrywki lekkoatletyczne Łotwa - Estonia, odbyte ub. soboty i niedzieli w Rydze, zakończyły się zwycięstwem reprezentacji łotewskiej w stosunku 82:78.

W ŁOTWIE

Wiadomości bieżące

— 25. ub. m. po długiej i ciężkiej chorobie zmarł znakomity łotewski pisarz, poeta i publicysta **Janis Akuraters**.

Urodzony w r. 1876, ś. p. J. Akuraters pozostawił po sobie bogatą spuściznę w postaci około 200 opowiadań, nowel i powieści, 25 sztuk scenicznych, 9 zbiorów poezji i przeszło 1000 artykułów umieszczonych w prasie przeważnie na tematy kultury i poważniejszych zagadnień życia społeczno-politycznego Łotwy.

— Ostatnio w Rezekne budynek, w którym mieści się obecnie Zarząd Miejski, obchodził setną rocznicę swego istnienia. Budynek ten pamięta jeszcze czasy Piotra Wielkiego, kiedy to nosił on charakter zajazdu, w którym pocztylion wiozący wielkim traktem pocztę zatrzymywał się na nocleg lub zmieniał konie. Wśród podróżnych, którzy zatrzymywali się na krótki postój w tym budynku, wymienić należy cesarza Mikołaja I.

— **Bałtycki kongres baptystów** odbył się w Rydze, zakończył się 27. ub. m. W odbytym jednocześnie kongresie baptystów łotewskich wzięło udział 400 delegatów z 98 parafii.

— W Rydze i Daugawpilsie gościł ostatnio, jako gość arcybiskupa Springowicza, arcybiskup Wileński **Jabrzykowski**.

— Na kolonii letniej dla dzieci w Rikuszach (dwóch klm od stacji Saulkrasti), która liczy 120 dzieci, znajduje się 15 dzieci z Estonii i 10 z Litwy.

Należy zaznaczyć, że, zawiązując staraniami departamentu opieki społecznej, Izby Pracy oraz kas chorych, w r. b. lato na wsi (na koloniach wypoczynkowych lub poprostu u gospodarzy wiejskich) spędza około 10.000 dzieci miejskich.

— W Rydze gościła ostatnio wycieczka strzelców estońskich w liczbie 32 osób.

— W myśl informacji Departamentu Leśnego w lasach państwowych w sezonie r. 1936—37 upolowano przeszło 17.000 zajęcy. Naogół zwierzozostan lasów państwowych nie zmniejszył się.

— Na początku bieżącego miesiąca ilość letników nad morzem łotewskim, którzy opłacili specjalny podatek letniskowy, wyniosła 33.824 osoby.

Oprawione komplety „Naszego Życia” i „Krasnoludków” za rok 1935 i 1936 w cenie po Ls 4.50 i Ls 1.- można nabyć w administracji „Naszego Życia”

Przybycie sowieckich dziennikarzy do Rygi, w środku (z kwiatami) kierownik delegacji Michajłow („Pravda”)



Na niedzielę

Nie umiemy...

Nie umiemy dyskutować. Trudno z nas wydobyć głosu.

Na zebraniach wolimy milczeć, w piśmie — nie odzywać się. Albo kryjemy w sobie głęboko cenne złoto (czytaj: milczenie — złotem) albo...

Odezwał się **Maksymilian Cieszkowski** w „Awangardzie”, wywołujący stale jakieś dyskusje, odpowiedział mu p. **Wanda Ilnatowiczówna**. Jeszcze raz wystąpił ten pierwszy, po nim — druga. Potem...

Mimo wyraźnie, jak się zdaje, prowokujących wystąpień — głuche milczenie. Na szczęście p. **Jadwiga Korecka** wypełniła tę zenującą i aż wstydliwą ciszę swym wołaniem o rzeczowe i twórcze omawianie naszych bolączek. Skończyło się, oczywiście, i tym razem — ciszą. Można rzec — zapanowało „rzeczowe i twórcze... milczenie”.

Wybraliśmy więc znowu... złoto.

W poprzednim „na niedzielę” wołałem głosem pustelnika o listy. Spodziewałem się, że będę miał sporo z tymi listami Czytelników (a może i Czytelniczek) do roboty.

A tu prawie nic. Bo jedynie wstępny artykuł, który można sobie przeczytać na stronie pierwszej, i trochę... ploteček.

Ach, te plotečki!

Tym razem nad mymi „niedzielami” kiwała główką blond pani mająca wielkie aspiracje i naprawdę wybitne pióro.

Nie podobały się.

Ani to śmieszne, ani poważne.

Stałałem bezradny. Bo to niby przecież złotówek piszący! Więc niech by sobie ulżył na mojej niewygarbowanej jeszcze skórze, niech by sobie, miast skrzeczeć rzekomo sarkastycznie — rąbnął, jak Zagłoba...

P. M. Miż-Miszyn słusznie przestrzega na pierwszej stronie przed analfabetyzmem powrotnym. Jest w tym postawieniu kwestii duża doza smutnej rzeczywistości: przestajemy czytać i przestaje-

my pisać. Niedługo tylko ABC obrazkowe będziemy brali od czasu do czasu do ręki, aby naszym dzieciom mówić o tym, jak za naszej „górnjej i chmurnej” młodości pisało się duże A lub małe b. Bo i jakże inaczej można sobie wytłumaczyć np. ten fakt, że tylko mniejsza połowa nielicznego nauczycielstwa naszego numeruje „Nasze Życie”? A jaki procent tego nauczycielstwa pisze na łamach jedynego pisma polskiego?

Nie rozpoczynajmy jednak litanii zgrzytów, bowiem musielibyśmy tutaj i o innych warstwach naszej przede wszystkim inteligencji rozwodzić się długo i szeroko.

A wymowa cyfr i faktów byłaby — niestety! — smutna.

Powracamy do tematu, a właściwie do wniosku, z którego wyszliśmy: nie umiemy dyskutować. Choć, Bogiem a prawdą, nie zawsze milczenie jest złotem i to tym bardziej, że tego milczenia najczęściej nie zachowujemy.

Dużo mówimy, ogromnie dużo!

Plotečki a wymyślenia a zlorzeczenia są rzeczą wśród nas codzienną, strawą i monetą obiegową.

Między sobą. Po kątach. W ciszy tajemniczych sanktuariów, w których obradują czy schodzą się swoi, wtajemniczeni, sympatycey.

Na forum publicznym, w świetle reflektorów, w słońcu — jesteśmy niemi i cisi.

Najwyżej uśmiechamy się zjadliwie i, zalewając się żółcią, seplenimy:

— Niech mu tam będzie! Niech sobie użyje! Odbijemy to kiedyś i w inny sposób.

I nie zauważamy, jak w stęchłej atmosferze naszego zaścianka umiorną pomysł, wędrująca idea, odchodzą ludzie...

Byłe nam było dobrze. Byłe nam nikt nie przeszkadzał. Byłe w stojącej wodzie naszego podwórka panował niczym niezamącony spokój... (mm)

Z Polski i o Polsce



Kopiec Wyzwolenia w Piekarach Śląskich

18 OBYWATELSTW HONOROWYCH DLA MARSZ. ŚMIGLEGO-RYDZA. W ostatnich tygodniach liczne gminy wiejskie i miejskie nadały obywatelstwo honorowe marszałkowi Śmigłemu-Rydzowi. Naczelnym wódcą otrzymał dotychczas obywatelstwo honorowe 18 gmin wszystkich województw w kraju.

POLSKA, jak się dowiadujemy z odpowiedzi udzielonej rządowi angielskiemu na jego ankietę w sprawie nieinterwencji w Hiszpanii, nie przyjmie komunistów polskich, walczących po stronie czarnego rządu hiszpańskiego, gdyby — na skutek akcji wycofywania wszystkich obcych obywateli z obu frontów hiszpańskich — komuniści polscy zaczęli powrócić do kraju.

PIERWSZE WYSTĄPIENIE JĘDRZEJOWSKIEJ w Ameryce było szeregiem sukcesów polskiej tenisistki. M. in. zakwalifikowała się ona do finału w mistrzostwach USA w tenisie oraz zdobyła wraz z amerykańką Andrus mistrzostwo USA w grze podwójnej. W grze mieszanej Polka wraz z Japończykiem Imagishi zakwalifikowała się również do finału.

W WIELKICH MIĘDZYNARODOWYCH ZAWODACH lekkoatletycznych w Berlinie, w których startowały m. in. lekkoatletki polskie, **Walasiewiczówna** w biegu na 100 m. zwyciężyła w czasie 11,9 swą zeszłoroczną pogromczynią na olimpiadzie w Berlinie Niemkę Krauss (12,2). W przedbiegu Polka miała fenomenalny czas 11,6. W rzucie dyskiem **Wajsówna** zdobyła pierwsze miejsce wynikiem 41,9 m. Niemka Hageman, która zdobyła drugie miejsce, osiągnęła 38,57 m. W skoku w dal zwyciężyła również Walasiewiczówna, osiągając 5,72 m.

CÓŚ NIECÓŚ O OSOBLIWOŚCIACH PRZYRODNICZYCH. Ma ich Polska wiele, a niektóre są zupełnymi unikatami w całej Europie. Warto przypomnieć te zwłaszcza, które leżą opodal uczęszczanych szlaków wycieczkowych i dlatego mało są znane.

Istnieje więc gejzer w Polsce: znajduje się on w pobliżu miejscowości Szkoło, 50 kilometrów od Lwowa. Z dna piaszczystego potoku, płynącego w odległości około 3 km od wsi Szkoło, bije jedyne na kontynencie europejskim gejzerowate źródło, przezwane przez ludność miejscową „Kipiczka”. Ze środka strumyka tryska, jak gejzer, słup wody na wysokość 1½ metra. Źródło to działa jak gejzer: strumienie gorącej wody wytryskują co kilka minut.

Bezdenne jezioro istnieje w Małopolsce. Wschodniej, u stóp łańcucha górskiego, zwanego Miódbranie. Jezioro to jest tak głębokie, że ludność miejscowa twierdzi, iż wody jego sięgają „aż do środka ziemi”. Rzeczywiście, głębokość jeziora tego jest ogromna, nie zdołano go dotychczas zgłębić — trzeba by do tego było użyć chyba specjalnej sondy, jaką się używa do pomiarów głębokości mórz. Jezioro to nigdy, nawet podczas największych mrozów, nie zamarza.

Skamieniały las znajduje się w miejscowości Kwaczale, niedaleko Krakowa. W posępnych, dzikich wawozach w pobliżu tej wsi znajdują się wielkie skamieniałe pnie araukarii, wśród których zdarza się okazy o półtorametrowej średnicy.

1500-letni cis znajduje się w pobliżu miejscowości Książdów na Huculszczyźnie, 10 km. od Kołomyi. A w tymże lesie są cisy nieco młodsze — po 1200 lat lub 1.000 lat, najmłodsze zaś pamiętają czasy wojen napoleońskich. Drugi cisowy las znajduje się na Pomorzu, w pobliżu miejscowości Lniańno, na linii kolejowej Laskowice — Chojnice. W lesie tym ponoć jeszcze przed wojną rósł cis, którego wiek obliczano na 2000 lat. Obydwa te lasy cisowe są obecnie jedynymi w Europie.

Polski „węzeł gordyjski”. Na górze św. Marcina, niedaleko Tarnowa, znajduje się piękny, modrzewiowy kościółek, posiadający w swym wnętrzu osobiście zupełnie wyjątkową — jest nią łańcuch, zamknięty drewnianym zamkiem, którego dotychczas nikt nie zdołał otworzyć, choć próbowali tego najznakomitsi fachowcy. Niezwykły ten zamek wykonany został przez niewiomego pasterza z jednej sztuki drzewa.

„Mleczny staw”. W pobliżu wspomnianej już miejscowości Szkoło znajduje się niewielki staw, w którym woda jest zupełnie biała, jak mleko. W środku tego stawu czerni się plama wskazująca miejsce, w którym z dna bije źródło siarczane. „Mleczny staw” nie zamarza nawet podczas najcięższych mrozów.

Z tygodnia

PRASA NORWESKA zamieszcza alarmujące wiadomości o zawitaniu do portu Bergen czterech niemieckich poławiaczy min nie posiadających na wjazd do portu norweskiego potrzebnego zezwolenia. Norweskie ministerstwo spraw zagranicznych zapowiedziało złożenie protestu w Berlinie.

ZARAZKI TYFUSU ROZPYLAĆ CHCIELI NA TYŁACH ARMII GEN. FRANCO. Paryż. Havas donosi z Pampeluny, że sąd wojenny skazał tam na śmierć dwóch obywateli francuskich, oskarżonych o szpiegostwo oraz o rozpylanie na tyłach armii gen. Franco zarazków tyfusu i śpiączki. Wedle aktu oskarżenia mieli oni działać z polecenia organizacji międzynarodowej, której siedziba ma się znajdować w Londynie. Zostali oni aresztowani z chwilą przekroczenia granicy hiszpańskiej.

ZŁOT GWIAZDZISTY W PARYŻU. Paryż. Na lotnisku w Orly z okazji gwiazdzistego zlotu międzynarodowego, zorganizowanego w związku z wystawą, wylądowało w niedzielę 58 samolotów: 17 angielskich, 11 niemieckich, 8 belgijskich, 7 polskich, 4 czechosłowackie, 3 holenderskie, 2 luksemburskie oraz po jednym z Grecji, Węgier, Łotwy, Portugalii, Szwecji i Szwajcarii.

95 MILIONÓW LUDZI ŚPIEWA PIĘŚNI NIEMIECKIE. Berlin. Święto śpiewacze we Wrocławiu stało się uroczystością ogólnopolską. Na uroczystość tę przybyli kanclerz Hitler, min. Goebbels i in. Obszerny teren, zapelniała 130.000-na rzesza śpiewaków niemieckich z kraju i zagranicy. Przybyły również liczne orkiestry wojskowe oraz tysiączne poczty sztandarowe formacji partyjnych. Łącznie z widzami ilość uczestników

NA SZEROKI

manifestacji obliczają na pół miliona osób. Kanclerz Hitler zajął trybunę honorową w towarzystwie min. Goebbelsa. Chór 40.000 śpiewaków poprowadził go pieśnią, a następnie wykonał szereg patriotycznych pieśni niemieckich.

Min. Goebbels wygłosił przemówienie o znaczeniu święta śpiewaków oraz o nowej kulturze niemieckiej.

Kanclerz Hitler w swym przemówieniu oświadczył m. in.:

„Niestety, nie jest udziałem całego naszego narodu jedność polityczna. Poza naszymi granicami czekają tysiące Niemców. Ten brak jedności politycznej możemy jednak czymś zastąpić. Jest to po pierwsze język niemiecki, którym mówi nie 68 lecz 95 milionów, a także pieśń niemiecka, która brzmi nie tylko w granicach Rzeszy, lecz wszędzie na świecie, gdzie tylko mieszkają Niemcy. W tej godzinie ożywia nas szczęśliwe uczucie jedności”.

Manifestacja zakończyła się późnym wieczorem.

Listy z ZSRR

Walka

Związek Wojujących Bezbożników, który jeszcze przed kilku laty liczył około 5 milionów członków, obecnie liczy tylko 2 miliony („Izwestia” z 10 III. 1937. r.) i jest w stadium organizacyjnego rozkładu. Organy miejscowe Związku w wielu okręgach częściowo rozpadły się, bądź przestały istnieć, jak np. we wschodniej Syberii i Kraju Dalekowschodnim.

Propagandowe wydawnictwa tego Związku przetwarzają z roku na rok utarte i przestarzałe frazesy. Są one zarówno ubogie co do treści, jak i wielkości nakładu. Od wielu lat już przygotowywany specjalny podręcznik propagandy antyreligijnej ma



Święto Morza: Oddziały marynarzy, słuchające polowej Mszy świętej, odprawionej u brzegów polskiego morza

M ŚWIECIE

Niemcy walczą z Kościołem

W ZWIĄZKU Z ZATARGIEM rządu niemieckiego z Kościołem Katolickim policja polityczna zakazała wszelkich pielgrzymek do Rzymu. Rozporządzenie to zakomunikowane zostało wszystkim biskupom oraz organizacjom katolickim w Niemczech.

Kronika wydarzeń i wypadków

W PRUSACH WSCHODNICH miał ostatnio znamieny wypadek urodzenia dziecka przez 75-letnią Augustę Klewer. Wypadek ten jest tym bardziej zadziwiający, że Klewer jest matką 22 dzieci, z których obecnie żyje jeszcze 9.

Z BUDAPESZTU DONOSZĄ o strasznym wypadku z 22-letnim artystą cyrkowym, t. zw. „politykaczem ognia“, który, podczas wystąpienia w jednym z cyrków węgierskich, włożył za wcześniej do ust płonąca zapalniczkę, wskutek czego nastąpiła eksplozja (wybuch) benzyny, którą artysta wlał sobie do ust poprzednio.

W OSTATNIEJ KATASTROFIE KOLEJOWEJ we Francji zginęło około 50 osób. Zgrozę katastrofy powiększył ten fakt, że wykolejony pociąg, zdążający z katolikami — pielgrzymami wszystkich narodowości do Lisieux, miał drewniane wagony, które uległy zupełnemu zgruchotaniu, pomnażając liczbę ofiar. Ponieważ zdarza się to już nie poraz pierwszy, rząd francuski postanowił wycofać z taboru kolejowego wszystkie używane jeszcze dotąd we Francji wagony drewniane.

Z religią

wyjść w końcu roku bieżącego w ilości 30 tysięcy egzemplarzy, co jest cyfrą niewielką dla całego Z. S. R. R. („Komsomolska Prawda“ z 14. III 37).

Obok Związku Wojujących Bezbożników, „Komsomol“ był specjalnie powołany do prowadzenia akcji antyreligijnej wśród młodzieży. Tymczasem okazuje się, że „miejscowe organizacje Komsomolu z reguły nie czynią, aby przeciwdziałać agitacji kleru wśród młodzieży, jak piszą „Izwestia“ 10. III 37. W ciągu całego roku 1936. żaden organ Komsomolu nie wystąpił z artykułem zasadniczym na ten temat. Na zebraniu zaś komitetu miejskiego Komsomolu w Moskwie w kwietniu b. r. okazało się, że komitet rozważał po raz ostatni sprawę propagandy antyreligijnej... w r. 1927-ym („Komsomolska Prawda“ z 17. IV. 37.).

Podobnież związki zawodowe na terenie robotniczym przejawiają całkowitą obojętność, o ile chodzi o szerzenie akcji bezbożnictwa.

Prasa sowiecka stwierdza znaczne natężenie ruchu religijnego na terenie całego Z. S. R. R.

Według obliczeń sowieckich („Bolszewik“ z dn. 15. II 37), Z. S. R. R. liczy około 30 tysięcy religijnych stowarzyszeń. Każde takie stowarzyszenie ma swoją radę cerkiewną. „Religia zachowała się jeszcze wśród znacznego odłamu ludności, zwłaszcza na wsi wśród kobiet i mniejszości narodowych“ — ubolewa prasa sowiecka („Koms. Prawda“ z 15. IV. 1937.).

„W szeregu miejscowości zaczęto odnawiać ikony, odbywać pielgrzymki do świętych źródeł, — zaczęły się cudowne uzdrowienia chorych“ — stwierdza ta sama gazeta (Koms. Prawda“ z 15. IV. 37.).

Obok wzmocnienia ruchu religijnego uaktywnia się ostatnio działalność duchowieństwa prawosławnego.

„Swoją szkodliwą, a często wręcz antysowiecką akcją przedstawicieli cerkwi starają się przesłonić perfidną polityką lojalności wobec władzy sowieckiej, a nawet wyrażeniem sympatii budownictwu socjalistycznemu“ — twierdzi „Koms. Prawda“ 15. IV 37.

Akcja duchowieństwa prawosławnego jest dla Sowietów tym groźniejsza, że nie organicza się do starszego pokolenia przedwojennego, ale sięga z powodzeniem po młodzież. Popi organizują przy cerkwiach chóry młodzieży, boiska sportowe i t. p. i tymi środkami rozszerzają swoje wpływy na młode, rewolucyjne pokolenie. Tak np. w jednej z wiosek chór młodzieży, kierowany przez miejscowego popa, śpiewa zarówno w cerkwi, jak i w klubie wiejskim, w t. zw. chacie-czytelni. W okręgu zaś Gorkijowskim w 22 rejonach członkami rad cerkiewnych było 182 przedstawicieli młodzieży w wieku od 18 do 25 lat („Bolszewik“ Nr. 4 z 1937. r.).

Pod wpływem alarmów prasy sowieckiej władza sowiecka zaniepokoiła się postępnym ruchem religijnym na terenie Z. S. R. R. W związku z tym w

PIJANEMU PRZYSZYTO GŁOWĘ. Warszawa. Niezwykłej operacji dokonano w warszawskim szpitalu Przemienienia Pańskiego.

W nocy karetka pogotowia przywiozła niejakiego Józefa Trzeciaka, kompetnie pijanego, który na karku miał głęboką ranę, zadaną nożem tak, iż głowa wydawała się jak odcięta. Chirurg przystąpił natychmiast do operacji. Popręciane mięśnie i rany zeszyto bez narkozy, bo pacjent był zupełnie nieprzytomny z upicia.

Operacja się udała i po czterech dniach Trzeciak czuje się znakomicie, a po zdjęciu opatrunku będzie mógł ruszać głową. Jest to niewątpliwie duży sukces polskiej chirurgii.

NIENZWYKŁY WYPADEK CUDOWNEGO OCALENIA. Londyn. Niecodzienny wypadek zdarzył się w miejscowości kąpielowej East Runtton w chwili, gdy przeszło 40 gości kąpielowych siedziało w t. zw. koszach plażowych. Nagle zerwała się jedna z pań i pobiegła z wielkim krzykiem

roku bieżącym można w Sowietach zaobserwować dążenie kół oficjalnych do odbudowania i ożywienia w pierwszym rzędzie martwiejącej już i skostniałej organizacji Związku Wojujących Bezbożników oraz rozszerzenia i pogłębienia propagandy antyreligijnej w Z. S. R. R.

Zwalczanie religii było i jest jedną z podstawowych zasad komunizmu w Sowietach, gdyż wynika ono z założeń ideologicznych komunizmu. Oto co mówią o tym wodzowie bolszewizmu:

„Partia nie może być neutralna w stosunku do religii i ona to prowadzi propagandę antyreligijną przeciwko wszelkiego rodzaju przesądom religijnym“ (Stalin). „Propaganda antyreligijna wśród wierzących pozostaje w dalszym ciągu jednym z najpoważniejszych zadań. Nie może być zdjęta z porządku dziennego. Tylko oportuniści myślą, że wpływy religijne mogą być wykorzenione bez walki“ (Jarosławski). „Komunizm i religia wzajemnie się wykluczają“ (Kosariew).

„Najwyższy czas, aby organizacje, powołane do prowadzenia masowej propagandy antyreligijnej, uświadomiły, że walka z przesądami religijnymi — to ważny odcinek walki klasowej i pracy kulturalno-politycznej. Ta sytuacja, jaka się obecnie wytworzyła na froncie propagandy antyreligijnej, nie może być dalej tolerowana“ („Izwestia“ z 10. III. 37.).

Z głosów tych wynika, że akcja antyreligijna w Sowietach należy do naczelných zadań bolszewizmu,

w stronę morza. Na krzyk owej pani zerwali się pozostali kąpielowicze. W chwili, gdy znajdowali się oni już w wodzie, zawałiła się nagle olbrzymia skała, która z hukiem zwała się na plażę, grzebiąc pod swymi gruzami kosze plażowe.

Tak więc, dzięki okrzykowi owej damy, uratowało swe życie przeszło 40 osób, któreby niewątpliwie zginęły pod zawałoną skałą.

PAROWIEC AMERYKAŃSKI SPŁONAŁ NA MORZU. Baltimore. Parowiec nadbrzeżny „City of Baltimore“, płynący do Norfolk w stanie Wirginia ze 150 pasażerami na pokładzie, padł wieczorem w odległości 14 mil od Baltimore pastwą płomieni. Wielu pasażerów zginęło, liczba poparzonych jest bardzo znaczna.

Na pomoc pospieszyły liczne łodzie ratunkowe i statki nadbrzeżne. Zrozpaczeni pasażerowie gromadzili się na burtach, dopóki ogień nie zmusił ich do szukania ratunku w wodzie. „City of Baltimore“ spłonął bardzo szybko. W pewnej chwili usłyszano przeraźliwy wybuch i parowiec w ciągu 2—3 minut, według zeznań świadków, stanął cały w płomieniach.

Według ostatnich wiadomości, jeden ze statków zabrał na swój pokład około 40 pasażerów „City of Baltimore“. Obliczają, iż w katastrofie zginęło 56 osób.

WŁADA 35 JEZYKAMI. W Paryżu cieszy się sławą poliglotty prof. Bogdanowicz, z pochodzenia Jugosłowianin. Obecnie mówi się o nim znowu z tej racji, iż prof. Bogdanowicz zdał przepisowy egzamin dla tłumaczy urzędowych z języka hinduskiego Urudu. Urudu jest 35 z rządu językiem, jakim włada poliglota. Tylko Nowy Jork może się pochwalić znawcą tylu języków w osobie Bułgara Georgiewa, który włada 24 językami.

że liczyć się raczej należy z jej natężeniem w najbliższej przyszłości.

Jednocześnie jednak widoczne jest dążenie do zmiany metod w przeprowadzaniu propagandy antyreligijnej, dotychczasowe bowiem metody „rozdrażniały i odpychały masy ludowe“, jak twierdzi prasa sowiecka.

W akcji tej zależy Kremlowi na tym, aby nie zrażać sobie milionowych mas wierzących przez drażnienie ich uczuć religijnych.

Toteż „Prawda“ z 3. i 5. kwietnia b. r. parokrotnie z całym naciskiem perfidnie podkreśla, że „wierzący nie jest wrogiem władzy sowieckiej“, że w stosunku do wierzących w walce z „przesądami religijnymi“ nie wolno stosować środków „administracyjnych“ oraz że okoliczność ta ma „ważne znaczenie polityczne“.

Czy te nowe — jak zawsze cyniczne — metody walki z religią okażą się w praktyce skuteczniejsze, aniżeli dotychczasowe — przyszłość dopiero na to odpowie.

Poza względami wewnątrz-politycznymi, zmiana metod akcji antyreligijnej czerwonego Kremlu nastąpiła również z uwagi na zagranicę, gdyż Sowiety muszą liczyć się z opinią, zwłaszcza krajów anglosaskich oraz czynią obecnie próby nawiązywania współpracy z organizacjami religijnymi katolickimi i protestanckimi na zachodzie dla montowania „Frontów Ludowych“.



Stanisława Walasiewiczówna w towarzystwie polskiej mistrzyni dysku Jadwigi Wajsówny i J. Bałtikówny

Dział religijny

Ewangelia na dwunastą niedzielę po Zielonych Świątkach

ZAPISANA U SW. ŁUKASZA W ROZDZ. 10, W. 23—37

Wówczas: Rzekł Jezus do uczniów swych: Błogosławione oczy, które widzą, co wy widzicie! Albowiem powiadam wam: Wielu proroków i królów chciało zobaczyć, co wy widzicie, a nie widzieli, i słyszeć, co wy słyszyście, a nie słyszeli.

A oto pewien prawnik powstał i, chcąc Go wy badać, rzekł: Mistrzu, co mam czynić by osiąść życie wieczne? On zaś mu odpowiedział: Co napisano w zakonie? jak czytasz? A on, odpowiadając, rzekł: „Będziesz miłował Pana Boga twego z całego serca twego i z całej duszy twojej i ze wszystkich sił twoich i ze wszystkiej myśli twojej, a bliźniego swego jak siebie samego”. A On mu odrzekł: Dobrześ odpowiedział; czyn to, a żyć będziesz. On zaś, chcąc się usprawiedliwić, rzekł do Jezusa: A któż jest moim bliźnim? Jezus tedy, ciągnąc rzecz dalej, mówił: Pewien człowiek szedł z Jerozolimy do Jerycha i wpadł między zbójców; ci nawet z odzienia odarli go i, poraniwszy, zbiegli, pozostawiając go na pół umarłym. Przypadkiem zaś tą samą drogą szedł pewien kapłan: popatrzył na niego i minął. Podobnież lewita, nadszedłszy na miejsce, popatrzył na niego i minął. Ale pewien Samarytanin, podróżując, przechodził obok niego i, ujrzawszy go, zlitował się. Przystąpił tedy, obwiał rany jego, nalawszy oliwy i wina, posadził go na swoje juczne bydlę, zawiózł do gospody i pielegnował go. Dnia zaś następnego wyjął dwa denary, dał je właścicielowi gospody i rzekł: Miej o nim staranie, a jeśli co nad to wydasz, ja zwrócę ci, gdy wracać będę. Któryż z tych trzech, zdaniem twoim, okazał się bliźnim względem tego, co wpadł między zbójców? On zaś odrzekł: Ten, który miłosierdzie mu okazał. A Jezus mu powiedział: Idźże i ty — czyn podobnie!

NAUKA

Zawołano mnie kiedyś do chorego. Sprawa była nagła. Wchodzę do maleńkiej izdebki. Czysta, długa, waziatka i słoneczna. Na jedynym oknie kwiaty i — zwykle, lecz śnieżno białe gardynki. Na jasnej ścianie obrazy. Pokój i łaska Boża zagościła w widoczny sposób w tej maleńkiej izdebce. Mieszkają tu dwie

zaczne kobieciny. Pod ścianą dwa łóżka — nad jednym z nich obraz Matki Boskiej Bolesnej. Na tym właśnie łożu, na czystej pościeli leży ów umierający mężczyzna. Ciemny, silny, odrzę budzący zarost na twarzy. Leży na łożku w ubraniu. Zdążyły zaledwie zdjąć mu obuwie. Kolnierzyk pod szyją rozdarty, czy rozpięty. Na surducie grube ślady błota. Ręce i twarz

już z pewnością długie tygodnie wody nie widziały. Cały ten człowiek niezmiernie zaniedbany, zabłocony i — jak nagle zauważam ku cichemu przerażeniu — całkowicie... zawszawiony. Nigdy nie przy puszczałem, że aż tak okropnie to obrzydliwe, plugawe mrowie obleźć może człowieka.

Gdy wszedłem z P. Jezusem do tej schludnej izdebki, chory nie miał już przytomności. Chwile życia już były policzone. Udzielić mogłem tylko Namaszczenia.

Tego to człowieka znaleziono przed kwadrans w rowie szosowym. Nieznany był w okolicy. Ot, taki sobie człowiek bez nazwiska, co to u drzwi stanąć musi, gdy rękę proszącą po chleb wyciąga. Tym to człowiekiem zaopiekowały się owe kobieciny. Nie trwożą się plugawym rozbactwem. Kładą odrazu na czyste łóżko, a potem zaraz po księdza...

Iluz z was Czytelników postąpiłoby w podobny sposób? Iluz z nas przeszłoby mimo leżącego? A ilu mogłoby się poszczycić takim zrozumieniem dzisiajszej ewangelii, jakie okazały te szlachetne niewiasty? Zawsze o nich ze wzruszeniem myślę, gdy czytam tę ewangelię. Nie da ona zapomnieć ludzkości, że jest stworzona na obraz Boży, nie da zatracić się w sercach miłosierdziu. Ks. F. B.

François Mauriac

Życie Jezusa

Pierwsze francuskie wydanie „Życia Jezusa“, które ukazało się na rynku wydawniczym w lutym b. r. z aprobatą władzy duchownej, rozeszło się w ciągu kilku miesięcy. Podobnież drugie wydanie, które ukazało się ostatnio.

— „Uznanie, jakie ta książka znalazła wśród szerokiej publiczności — pisze jej autor w przedmowie do drugiego wydania — wskazuje na to, co trzeba niestety określić przykrym słowem — „aktualność Chrystusa“.

Moment dziejowy, który przeżywamy, pozwala nam wniknąć w treść tajemniczego zapytania, które Jezus zadał sobie samemu i pozostawił bez odpowiedzi „Wszakże, gdy przyjdzie Syn Człowieczy, czy znajdzie wiarę na ziemi?“...

Jedną z głównych przyczyn, która mnie ośmieliła do napisania tego żywota — kontynuuje autor — była potrzeba odnalezienia i poniekąd dotknięcia żywego i cierpiącego Człowieka, którego miejsce pośród ludzi świeci pustkami — odnalezienia Słowa Wcielonego, czyli istoty cielesnej, istoty z krwi i kości podobnie jak my“.

Istotą Chrześcijaństwa jest Chrystus. To też teksty Jego nauki brane oddzielnie, w oderwaniu od Niego, tracą odrazu swoje znaczenie i swoje życie.

— „I dlatego — stwierdza autor w przedmowie — człowiek wierzący, jakkolwiek by się czuł słaby i bezbronny, ma jednak obowiązek odpowiedzieć na odwieczne pytanie: „A ty, co sądzisz o tym Człowieku?“ Ta książka, tak niegodna swego przedmiotu, jest tą odpowiedzią, jedną spośród tysięcy, jest świadczeniem Chrześcijanina, który wie, że jego wiara jest prawdziwa“.

Kilka najcenniejszych urywków z tego przepojonego głęboką religijnością dzieła największego z katolickich pisarzy współczesnych — Francuza — podajemy naszym Czytelnikom. Redakcja.

To słowo już nigdy jej nie opuściło: to słowo, ten miecz. Przeniknął ją tej godziny i tkwił odtąd w jej sercu. Wiedziała bowiem, że tylko w synu może być dotknięta, że każde cierpienie i każda radość przychodzi wyłączenie od niego. I oto dlatego to, co w Marii przetrwało z ludzkiej słabości, radowało się, być może, że z biegiem lat nie rozparowały się mroki ich ubogiego domu. ubogiego życia. Sądziła zapewne, że dla zbawienia świata wystarczy samo to nieznanie światu istnienie, tajemne pograżenie się Boga w człowieku — i że inny żaden nie groził jej miecz oprócz bólu, że pośród stworzeń była jedynym świadkiem tej ogromnej miłości.

III. DZIECKO POŚRÓD DOKTORÓW

Życie tak zwyczajne i tak podobne do innych żywotów, że Łukasz, który szczyści się na początku swej ewangelii „ze wszystkiego od pierwszych chwil dokładnie zba da“, nie może nic innego przekazać o wieku młodzieńczym Chrystusa jak owe zdarzenie w czasie podróży do Jerozolimy na Święto Paschy. W drodze powrotnej do Nazaretu dwunastoletnie dziecko opuściło Józefa i Marię. Sądziło zrazu, że pozostało z sąsiadami i znajomymi i odbyli dzień drogi bez niego. Potem ogarnął ich niepokój. Przeszukawszy napróżno gromadki pielgrzymujących, szaloną zdjęci trwogą, zawrócili z drogi. Przez trzy dni

błądzili po Jerozolimie, w przekonaniu że go stracili.

Kiedy go wreszcie odnaleźli w świątyni siedzącego pośród ołsnionych doktorów, ani im się śniło podzielać ich zachwyty, matka zaś, może po raz pierwszy, zwróciła się doń z wyrzutem:

— Dziecko moje, czemuś nam tak uczynił? Oto ojciec twój i ja z bólem serca szukaliśmy ciebie...

I po raz pierwszy Jeszu nie dał takiej odpowiedzi, jaką by dało każde inne dziecko, nie odpowiedział tonem zwykłego ucznia. Bez zuchwałości, ale jakby był poza czasem, sam ich z kolei zapytał:

— Czemuż to szukaliście mnie? Nie wiedzieliście, że w tych rzeczach, które są Ojca mego, potrzeba żebym był?

Wiedzieli o tym, nie wiedząc... Świadcstwo Łukasza jest jasne: rodzice nie zrozumieli odpowiedzi dziecka. Maria, matka podobna do innych matek, trawiona troską, niepokojem... a któraż to matka z łatwością przenika tajemnicę powołania? Która matka w pewnej chwili nie jest zbита z tropu wobec tej młodej, dorastającej istoty, która już wie dokąd chce iść? Ale Maria, wybrana od Boga i od początku łaską Jego oświecona, przechowywała w sercu swoim to, czego biedna kobieta pojąć nie była w stanie. Wszelako te słowa dziecka musiały jej się zdać twarde. Czy też aby jej syn, Jeszu, przemawiał do niej kiedykolwiek czule przed owym ostatnim słowem z wysokości krzyża?

Łukasz zapewnia nas, że Jezus był posłuszny swoim rodzicom, nie dodając, aby, kiedykolwiek bywał z nim tklivy.

W 65-tą rocznicę zgonu wielkiego muzyka

Prawda polskości w dziełach Stanisława Moniuszki

Potęgą uczucia i siłą wyrazu cechuje Wielkich Polaków, urodzonych na Wileńszczyźnie; ziemia ta stała się „sercem serc” Narodu od chwili, kiedy z jej łona wyszli ludzie tej miary, co Józef Pilsudski, Adam Mickiewicz i Stanisław Moniuszko.

Ostatni z wymienionych, znakomity muzyk, pedagog i kompozytor, urodzony w r. 1819., był twórcą szeregu oper, pieśni, oratoriów i utworów symfonicznych, które mu zjednały sławę największego, obok Chopina, kompozytora polskiego i przyczyniły się do rozgłosu polskiej muzyki nie tylko w Europie, ale i na całym świecie.

W twórczości Stanisława Moniuszki istnieje pewna wielka siła, która jest jednocześnie „przyczyną i skutkiem”, punktem wyjścia i dojścia, zapytaniem i wyjaśnieniem, czemu dzieło tego kompozytora pozostawiło tak wielki wpływ na kształtowanie się twórczości późniejszych muzyków polskich i po dziś dzień wzrusza i zachwyca swą sztuką? Ta siła — to umiejętność przemówienia do uczucia, zdolność prostego, szczerego wypowiedzenia swych myśli, bez sztuczności, egzaltacji i pozy.

Moniuszko napisał wiele oper i jest uważany za kompozytora przede wszystkim operowego. Koroną jego twórczości są cztery dzieła: „Halka”, „Hrabina”, „Verbum Nobile” i „Straszny Dwór”. Zbyt trudną rzeczą byłoby omawianie każdej z tych oper z osobna, dowiedzionym faktem jednak jest, że sama „Halka” posiada takie bogactwo melodyki, inwencji i talentu twórczego, że możnaby nim obdzielić niejednego kompozytora zachodnio-europejskiego bez uszczerbku dla samej „Halki”.

Podstawą doskonałości muzyki Moniuszkowskiej stanowi prawdziwość tematu, sposobu jego wypowiedzenia i doskonale zrozumienie środowiska, w którym się akcja opery rozgrywa. Prawdziwość tematu wynika stąd, że Moniuszko jest kompozytorem oryginalnym, że czerpie temat wprost ze źródła, a nie szuka go u innych muzyków, którzy, operując się na tematyce swych poprzedników lub współczesnych, przechodzą do historii muzyki, jakó

„twórcy własnego stylu”.

Oryginalność myśli muzycznej Moniuszki pochodzi z podłoża ludowego, które zawsze było, jest i będzie skarbnicą prawdziwego nałężnienia największych geniuszów.

Albowiem polskość Moniuszki jest głównym dogmatem jego sztuki i elementem, który przebija ze wszystkich jego dzieł. Ta polskość, która drga nie tylko w narodowych mazurach, polonezach i dumkach, ale przede wszystkim w charakterze jego nastrojów, uczuć i w żywych postaciach. Dawna sarmacka zadzierzystość, ludowa rzewność i serdeczność, tęsknota i ciepły, szczerzy sentymentalizm



Portret Stanisława Moniuszki (1819.—1872.).

— słowem wszystkie cechy właściwe charakterowi polskiemu złożyły się na całokształt niezaprzeczonej prawdy narodowej, która stanowi główną i zasadniczą wartość tworzywa moniuszkowskiego. Jego opery nie posiadają tych sztucznych elementów, jakie cechują współczesną Moniuszkę operę włoską i dramat muzyczny Ryszarda Wagnera. Muzyka Moniuszki powstała na podłożu osobistej uczuciowości i pełnego zrozumienia wewnętrznej potrzeby stworzenia prawdziwej narodowej polskiej opery.

Okazało się, że prawda polskości, zaklęta w geniusz muzyczny twórczości moniuszkowskiej, najsilniej przemówiła w latach upadku, poniżenia i niemocy, kiedy dźwięki „Halki” czy „Straszny Dwór” uświadomiły Polaków o niezniszczalności walorów sztuki narodowej i krzepiły ogarnięte zwątpieniem i rozpaczą serca polskie. Wtedy okazało się, jak wielką wartość posiada ta sztuka narodowa, o której powiada Mickiewicz, że jest „arką przysięgą, w której Naród składa swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty”.

Jeszcze jeden ważny moment przemawia za żywotnością opery moniuszkowskiej: oto „Halka” rozpoczęła niedawno triumfalny pochód poprzez największe sceny operowe Europy, świecąc prawdziwe triumfy w Hamburgu, Berlinie, Helsingforsie i Tallinie i spotykając się wszędzie z entuzjastycznym przyjęciem krytyki i publiczności. Fragmenty z tej opery są stale wymieniane w programach koncertów symfonicznych nie tylko Europy, ale i Ameryki.

Myliby się więc ten, kto by sądził, że opera moniuszkowska stała się już przestarzałym. Przeciwnie, jej wspaniały pochod świadczy o wielkich wartościach artystycznych, a bujna i bogata melodia, wyrosła na podłożu ludowym i narodowym w połączeniu z pełnią inwencji twórczej zapewniają temu nieśmiertelnemu kompozytorowi najpóźniejsze miejsce w Panteonie sztuki polskiej i międzynarodowej. Emgar

Nie ma ani jednego słowa Chrystusa do matki, z tych, które podają Ewangelie (prócz ostatniego), któreby brutalnie nie zaznaczało jego niezależności wobec kobiety: jak gdyby się nią był posłużył do swego wcielenia, a potem porzucił to ciało i nie było już nic wspólnego pomiędzy nią a nim. Tym, którzy mieli go pewnego dnia uprzedzić: „Matka twoja i bracia tui stoją przed domem i szukają cię...”, odpowiedział: „Któż jest matką moją i którzy są braćmi moimi?” I, objawszy wzrokiem tych, co siedzieli wokół niego: „Oto, powiedział, matka moja i bracia moi. Ktoby bowiem spełniał wolę Ojca mego, który jest w niebieszech, ten bratem moim i siostrą i matką jest...”

Ów Jezus dwunastoletni, który rósł w mądrość, w lata i w łaskę i który, w powrotną drogę z Jeruzolimy, jak sądziła jego matka, miał się znajdować w towarzystwie krewnych i sąsiadów, stykał się wtedy ciągle z wielu ludźmi: byli to rzemieślnicy, jak on, albo rolnicy, winogradnicy, rybacy na jeziorze; ludzie ci mówili o zasiewach, owcach, sieniach, łodziach i rybach; spoglądali na zachód, aby rokonać o wietrze lub deszczu. Odtąd już wie, że, aby uzyskać posłuch człowieka prostego, należy się posługiwać wyrazami, które oznaczają przedmioty codziennego użytku, to, co się zbiera, sieje, żnie w polu, co się pije, co się je. Nawet to, co wykracza poza owe rzeczy, pojmują biedni ludzie tylko przez porównanie z tamtymi, przez analogię: woda w studni, wino, ziarno gorzyczne, drzewo figowe, owce, nieco kwasu mlekowego, miara mąki, — nie trzeba więc, aby maluczy pojęli Prawdę.

IV. JEZUS MŁODZIENCEM

Dwunastoletni Żyd wyszedł już z dzieła. Ten Jezus, który zadziwiał Dok-

torów, był w oczach Nazarejczyków bardzo nabożnym chłopcem, obznajomionym z Torą. Wszelako od owego zdarzenia z podróży do Jeruzolimy do wystąpienia Jezusa na widowie w pełnym świetle, upływa osiemnaście lat, najbardziej ukrytych. Dzieciństwo bowiem bywa niekiedy tak niepokalne, że pozwala nam wyobrazić sobie Jezusa — dziecko, ale Jezus młodzieńcem, Jezus mężczyzną?

Jak przeniknąć ten mrok? Był pełnym człowiekiem, i, oprócz grzechu, przyjął na siebie wszystkie nasze ułomności — młodość naszą także, ale chyba bez tego niepokoju, bez zawsze zawiedzionych nadziei, bez tego drżenia serca. Gdy ma lat trzydzieści, wystarczy że powie pewnemu człowiekowi: „porzuć wszystko i pójdz za mną”, aby ów człowiek wstał i poszedł za nim. Kobiety wyrzekną się swoich szaleństw, aby go wielbić. Wrogowie zmienią się w nim człowieka, który czaruje i uwodzi. Istoty niekochane nazywają innych uwodzicielami. Być może, iż nic jeszcze z owej władzy nad sercami nie przejawiało się w owym chłopcu, który heblował deski i rozmyślał nad Torą wśród nielicznej gromadki rzemieślników, włóścian i rybaków... Cóż my jednak o tym wiemy? Czyż ogień, który przyniósł na świat, mimo że zagrzebany w popiele, nie tlił się w jego spojrzeniu, w jego głosie?

Co też sądzili o nim? Czemu się syn cieszył nie żenił? Broniła go być może jego nabożność. Nieustanna modlitwa, mimo że żadnym nie wyjawiona słowem, stwarza wokół świętych atmosferę skupienia i adoracji. Wszyscy znaliśmy takie istoty, zajęte najwykleszą pracą a trwające bez przerwy w obecności Bożej: najnikczemniejsi szanowali je w niejasnym poczuciu tej obecności.

Istotnie, ten, któremu niebawem wiatry i morza miały być posłuszne, posiadał także moc obdarzania serc wielkim pokojem.

V. KONIEC ŻYCIA UKRYTEGO

Pogłoski o nauce Jana Chrzciciela doszły do Nazaretu. Jeśli istniał w piętnastym roku panowania Tyberiusza jakiś zakątek ziemi, gdzieby ludzie wiedzieli czego Bóg jedyny oczekuje, czego żąda od każdego z nas poszczególne, nie ofiar, ani całopaleń, ale wewnętrznej czystości, skrucy serca, pokory, miłości dla ubogich, to było to w owej Galilei, podległej Herodowi Antypie, tetarsze, pośród ludu wzgardzonego przez Rzymian i Greków, Ateny i Rzym osiągnęły wszystko, co tylko można było osiągnąć w panowaniu. w świadomości, w używaniu. Tutaj, ów mały naród podążał w kierunku przeciwnym, odwróciwszy się od zdobywania potęgi, sytości, od zaspakajania żądz. Na wybrzeżach morza Martwego Esseńcyzy, żyli w wyrzeczeniu i czystości, wyłącznie swoją duszą zajęci.

Wyobraźmy sobie w pracowni Nazaretańskiej owego człowieka nadsluchającego swojej godzinie, godziny, która się zbliża. Może Maria wspominała mu o Janie, synu jej krewniej, Elżbiety, i o tym tajemniczym narodzeniu: Zachariasz kapłan i nieplodna małżonka jego, Elżbieta, oboje już w latach sędziwych. Było objawione Zachariaszowi, kiedy sam jeden ofiarował kadzidło, a lud cały czekał nazępnątrz świętyni, że urodzi mu się dziecko płci męskiej i że będzie ono napełnione Duchem Świętym. Ponieważ Zachariasz przez jedną chwilę zwątpił o cudzie, pozostał niemym dopóki się wszystko nie spełniło i stara Elżbieta nie urodziła syna; wówczas, wbrew sąsiadom, ojciec napisał na tabliczce: „Jan jest imię jego”. (DCN)

Jerzy Kossovski

Powrót

Wspomnienia z Wielkiej
Wojny oficera polskiego
z armii austriackiej

San Dona di Piave! Miasto
kremowych, białych i purpu-
rowych róż!

Tysiąc żołnierskich gęb
otwarło się w pełni zdumie-
nia, gdyśmy tam weszli pierwszy raz.
Zdumiał się tysiąc par żołnierskich oczu.
Miasto róż!

I w naszych oczach, dzień po dniu, roz-
sypywało się to miasto w gruzy. Włoskie
miasto, walone włoskimi pociskami! Mi-
nał rok i cudne domki w ogrodach, wille,
pałace pokładły się w proch. Pokrywała
je ziemia i kurz. Przygniatał gruz mur-
ów ogrody różane. Czerniała ziemia,
czerniały mury, smutniały połamane krze-
wy. Lecz przyszła wiosna. Ogrody za-
kwitły: wybujały róże ponad zwalone
mury. Zakwitły znowu! I znowu, gdzieś
sięgnął wzrokiem od krańców miasta aż
po Piave — róże! — róże! — aż męczące! Wszędzie
róże, kwitnące mimo ulewę żelaza i cią-
glej grozy śmierci. — Umrzemy na ró-
żach! — kpiłiśmy, kłamiąc sobie nawza-
jem odwagę.

I w naszych oczach poczęły ginąć róże,
trute gazami i ciągłą eksplozją ekrazytu.
Smutniały, ciemniały i marły.

Zostawiliśmy je teraz za sobą. Wracamy
do domu, nie zobaczymy ich nigdy. Idzie-
my zwartą kolumną przez drogi białe.
Mijamy drzewa oliwne, winnice przydro-
żne, pokryte białym kurzem drogi, wzbi-
janym przez nasze żołdackie stopy.

— Patrzenie — mówi kapral Potoczek —
liście posiwiały!

Idziemy zwartą kolumną, kompania za
kompanią, a za nami o trzy kilometry
Włosi. Maszerują jak my: wolno i spo-
kojnie, nie przekraczając owych trzech
kilometrów. Nie ścigają nas, bo nie chcą
się z nami zetknąć, a jednak każdy z nas
czuje, że wypierają nas, że są tuż, na
karku!

Idziemy tak już sześć dni, nie mając
świadomości, że to koniec wojny. Wy-
obrażaliśmy sobie zupełnie inaczej epilog
tych wszystkich dziwnych historyj. Uta-
rł się pewien szablon w naszych móz-
gach, szablon nadziei: koniec, to miał być po-
kój. Wszystko jedno jaki, ale pokój.
A więc: pertraktacje, parlamentaryz-
m z białymi chorągiewami, wymiana jeńców
i orkiestra, bratanie się ze stroną przeciw-
ną, przyjęcia i pijatyki, wreszcie powrót
do domu powrót z paradą! — A tu nic z
tego! Całą paradę popsuł rozkaz, ostatni
austriacki rozkaz: wszyscy niech wracają
do swych rodzinnych stron. — Z początku
każdy chciał gnać naoslep w kierunku
przeciwnym od frontu, lecz później przy-
szła rozważa: iść razem, całym pułkiem,
nie rozlatywać się, bo może być źle!

I wracamy.

Idziemy wolna, marszem podróznym.
Mineliśmy cudne stare miasteczko Porto-
gruaro, mineliśmy czarny, w proch roz-
bity, zamek Duino i stanęliśmy nad mor-
zem, na brzegu urwistym. Tam, w dole,
o setkę metrów niżej, Adriatyk, niby ma-
sa płynnej drgającej ręki.

Pułk się rozłożył wzdłuż drogi. Na bia-
łych skałach spoczęliśmy w południowej
spiekocie i spokojnie czekamy obiadu.
Wojny już nie ma, ale jeść trzeba. Jeste-
śmy strasznie zmęczeni i spać się chce.

Żąda snu jest tak wielka, że na wiado-
mość o ucieczce oficerów Niemców, led-
wieśmy głowy podnieśli.

Ale przychodzi do nas oberlejtant Zap-
pelt, Polak z Krakowa. Mały, suchy jak
wiór, twarz ptasia, oczka małe, rysie. Pa-
trzy na nas, krzywi gębę i kpi:

— Wstać kiedy komendant pułku przy-
szedł.

— Ludzie — woła Tyrowicz — który
zechce polechtać mi w pięty! — Zappelt
powiedział dowcip, trzeba się śmiać.

— Głupiś! To nie dowcip. Jestem
najstarszym oficerem, obejmuję do-
wództwo.

— Co za głupstwa gadasz.

— Głupstwa! Wszyscy Niemcy siedli
na wozy i pojechali do Triestu. Stamtąd
koleją do domów. Mają bliżej niż my.

— Serio?!

— Tak.

— No to chwala Bogu — rzekł kapelan
Miodecki, najmłodszy ksiądz w całej
armii.

— Więc co teraz zrobimy? — spytał
Tyrowicz.

— Nic. Maszerujemy dalej. Zwołam
cały pułk do groty, powiem, co i jak, i
jadza dalej.

Nie minęło i pół godziny, kiedy prze-
szło tysiąc sto chłopca zeszło do olbrzymiej
groty Gava Romana.

Zappelt wskoczył na jakiś głaz i skrze-
czy, a echo mu w olbrzymiej grocie pow-
tarza końcówki słów:

— Uwaga, chłopcy! Wojna się skoń-
czyła, wracamy do domu. Musimy iść
jeszcze tysiące kilometrów. Oficerowie
Niemcy uciekli, mają niedaleko. W tej
chwili ja jestem najstarszym oficerem,
więc obejmuję komendę pułku. Karność
musi być do końca. Idąc całym pułkiem,
dostaniemy wszędzie to, czego nam będzie
potrzeba. Niech nikt nie rzuca po drodze
niczego, co może być przydatne w kraju.
Cały pułk, jak jest, umundurowany i
uzbrojony, musi dojść do Nowego Sącza.
Tam na pewno każdy bagnet i każdy ka-
rabin będzie potrzebny. Jest nas sześciu
oficerów i ksiądz kapelan, was jest tysiąc
sto i coś chłopca. To jest siła, ale brak
karności może nas rozbić, toteż karność
będę przestrzegał bardzo surowo. A teraz
rozejść się. Na górze wzdłuż drogi zbior-
ka i maszerujemy do Triestu. Na czapce
każdy ma mieć orzelka, albo wstążeczkę
czerwono-białą. Rozejść się!

— Zaraz, zaraz! — rozległo się nagle z
kąta groty. Przez tłum przepychał się
zwolna młody, krępy chłop: — To tak nie
będzie, jak pan oberlejtant sobie wy-
obraża! Wojna się skończyła i skończył
się burżuazyjny porządek! Gwiazdki na
kolnierzach już nie grają roli: komenda-
nta pułku sami wybierzemy. Byłem w nie-
woli rosyjskiej. Widziałem, jak tam jest
i jak się to robi. Głupi, uciekłem stam-
tąd, a kiedyś wróciłem do domu, wzięli mnie
żandarmi, zawlekli do kadry i wystali na
włoski front. Tak, chłopcy, teraz tu nikt

nie ma nic do gadania, tylko my sami!..

— Tu nie Rosja i tu nie ma żadnych
wyborów! — ryknął Zappelt nieswoim
głosem. — Tu jest wojsko! Ja pułk pro-
wadzę i dowództwo złożę w kraju! A kto
mi się będzie sprzeciwiał, pójdzie pod
polowy sąd i kula w łeb! Byłem i ja w nie-
woli i wiem, co było w Rosji. Znacnie mie,
chłopcy, nie pierwszy dzień, prawda?

— Prawda! prawda!

— Wierzycie mi?

— Wierzymy!

— Będziecie słuchali?

— Biedziemy! Biedziemy!

— A teraz marsz! Wszystko na górę!

A tego bolszewika pilnować i nie dać mu
warcholić!

W godzinę później dowódca pułku,
porucznik Zappelt, jechał na czele ko-
lumną z młodzieńkim kapelanem i z
adiutantem, którym mianował feldfebla
Weżyka. Na drugi dzień schodziliśmy
krętą i bystrą serpentyną nad morze, ku
Triestowi. Szliśmy wolno, dzień po dniu,
aż zamajaczyły przed nami wieże Lub-
lany.

Pułk rozłożył się wzdłuż olbrzymiego
bagna — torfowiska, patrząc z utęsknieniem
na olbrzymi wał kolejowy. Dowódca puł-
ku i pół kompanii karabinów maszynowych
poszli do miasta, do braci Słowienców, pró-
bować, a nuż uda się dostać pociąg!..

Minęła noc i zaczęliśmy się bać: uwię-
zili ich, kiedy nie wracają! — Koło po-
łudnia wzięliśmy drugie pół kompanii za-
bijaków i już mieliśmy ruszać szukać za-
ginionych, gdy od strony miasta przyznał
konno adiutant. Wrzeszczał z daleka:

— Pociąg! Pociąg! Dali pociąg!

Pułk zerwał się na nogi.

Po dwugodzinnym marszu byliśmy na
dworcu. Załadowano nas na jakiejś bo-
cznicy. Bracia Słowienicy dali trzydzieści
wagonów. Załadowaliśmy przeszło tysiąc
sto uzbrojonego chłopca, sto dwa konie i
czterdzieści ośm karabinów maszynowych.
Dwieście koni musiało zostać! Rozpacz,
ale trudno! I tak było ciasno, jak diabli!

W pewnej chwili Zappelt wziął mnie
pod rękę i odprowadził na bok:

— Jesi ważna rzecz do zrobienia.

— Jaką?

— Obejrzyj się, tam w prawo: wi-
dzisz? Sześć wagonów odkrytych z dzia-
łami. Dowiedziałem się, że z któregoś tam
pułku haubice jakiś mornar, lejtnant Pileski
przywlokł tu trzydzieści armat. Część
ludzi, Niemcy i Czesi, pociękało. Zostali
przy nim tylko Polacy. Zdobyli te wago-
ny pod armaty, ale jeszcze sześciu sztuk
nie mają gdzie załadować, bo Słowienicy
nie chcą dać jeszcze dwóch wagonów.

— Więc co zrobić?

— Idź pod te wagony, znajdź tego Pi-
leskiego. Niech choć dwie haubice wsadzi
do któregoś z naszych krytych wago-
nów.

— Rozumiem. Ale co zrobić z pozost-
stałymi czterema.

— Ukraść wagon w nocy, załadować i
przyczepić do naszego pociągu.

— Rozumiem.

Ukradliśmy w nocy wagon wielki,

kryty, piękny, nowy, załadowaliśmy haubice i bez szelustu przesunęliśmy go pod nasz pociąg.

Spalem jak kamień, gdy pociąg ruszył. Jak jechaliśmy, nie pamiętam, dość że czternastego dnia podróży wygodnej, bo ciągle leżąc, w bydłym wagonie z pamiętkowym napisem „sechs Pferde oder vierzig Mann“*) dojechaliśmy do Wiednia.

Zappelt zbudził mnie wrzaskiem Wiedeń! Wstawaj!
— Po co?
— Stoimy bez lokomotywy.
Zerwałem się na równe nogi.
— A gdzie jest?
— Uciekła! — Zappelt, zwykle zielony, był teraz czerwony jak ćwikła. Małych oczu zupełnie nie było widać. Zamieniły się w śliwe główki od szpilek.

— Co zrobić?
— Węzyk był w komendzie dworca, powiedzieli, że nie mają i nie dadzą.

— Trzeba lokomotywę kupić — odezwał się z pod słomy kapelan Miodecki.

— Za co?
— Mamy w kasie przeszło siedemdziesiąt tysięcy lirów.

— Tak? Ciekaw jestem, kto weźmie ten austriacki falsyfikat!

— Można wymienić.

— Gdzie?
— W jakimś ministerstwie, czy banku.

— Zrób to, kiedyś taki mądry.

— Spróbować można. Chodźmy wszyscy trzej, Węzyk czwarty i pluton ręcznych karabinów maszynowych.

— Chodźmy.

Ksiądz wstał, słomę z włosów wycesał, pieniądze wpakował do olbrzymiej torby pocztowej, a Węzyk postawił warty przy wagonach i na wszelki wypadek wziął dwa plutony ze sobą. Poszliśmy. Wyglądało to kapitalnie! Kapelan, niby listonosz, z wyładowaną olbrzymią torbą, my obaj po bokach i dwie kompanie, prowadzone przez Węzyka, za nami. Złapał się policjanta i każemy się prowadzić do „Finanzministerium“**) Policjant słucha, bo musi: rewolucja! Byliśmy, zdaje się, jedynym karnym oddziałem w Wiedniu.

Zappelt szedł wyciągniętym krokiem, salutując od czasu do czasu wyższych oficerów, ale wkrótce przestał, bo nie odklaniał się, pewnie ze strachu: rewolucja!

Natomiast tłum przystawał i gapił się na ten karny, uzbrojony oddział zabijaków, obrośniętych, jak niedźwiedzie, niegolonych od miesiąca, asystujących młodzieńkiemu kapelanowi, objuczonemu, jak wielbłąd, prowadzonemu przez policjanta.

W ministerstwie austriackiego skarbu oświadczone nam, że tylko Bank Państwa może wymienić te austriackie falsyfikaty lirów na korony.

Maszerujemy do Banku. Węzyk komenderuje oddziałem, aż trzeszczy. Wiedźczycy to lubią i tłum dookoła nas coraz większy. Kompanie stają frontem przed olbrzymią bramą. Wchodzimy do pięknego gmachu.

— Gdzie jest pan prezes banku — pytam ostro olbrzymia portiera z brodą po pas i z pozłacaną palą w łapie.

— Pierwsze piętro, woźny zamelduje. Idziemy, schody szerokie, marmur! Na pierwszym piętrze korytarz szeroki, jak

ulica, drzwi dziesiątki. Nawija się woźny. Łapie go Zappelt.

— Gdzie pan prezes?
— Drzwi numer ośm.

Idziemy.

— Chłopcy, kończmy tę wędrówkę — jęczy Miodecki — bo już nie wydołaj! Strzele tą torbą o ziemię!

— Czekał, jeszcze chwila! — pociesza Zappelt.

— Jest! — wołam.

— Co?
— Nr. 8.

— Ale kto nas tu zamelduje?
— Trzeba poszukać woźnego.

— Nie czekam ani chwili — decyduje ksiądz. — Nie udźwignij! Właźmy, i tak jest rewolucja.

— Właźmy.

Dobrze wychowany Zappelt puka, ale ksiądz z żywca wali wprost, otwiera drzwi szeroko i wchodzi. My za nim.

— Co tam? — skrzecze jakaś starcza postać, siedząca pod otwartym oknem.

Zappelt wysuwa się naprzód.

— Wracamy z frontu włoskiego, polski pułk, mamy austriackie liry, przeszło siedemdziesiąt tysięcy. Ludzie domagają się żołdu. Prosimy kazać wymienić nam owe liry na korony.

— Nie ma o tym mowy. Liry drukowaliśmy dla terenów okupowanych i tam wymienialiśmy...

— Ale panie prezesie — przerywa Zappelt, a oczka zwały mu się w szparki. — Nasz pułk liczy tysiąc stu górali, zabijaków, zdolnych do wszystkiego. Stoją z pociągiem na południowym dworcu...

— Pan niepotrzebnie tak wiele mówić — syczy prezes — nie wymienimy. Pieniądzy potrzebujemy dla siebie, a nie dla polskich pułków...

— Jeżeli żołnierze się zbuntują, nie otrzymamy pieniędzy, i rozbiją dworzec granatami ręcznymi, albo rzucą się na rabunek, to odpowiedzialność spadnie na pana prezesa.

— Nie ma obawy.

— Bardzo przepraszam — odezwał się z kolei — widzę, że zanoszę się na dłuższą dyskusję. Pan prezes pozwoli, że z okna dam rozkaz feldfeblowi, by skomenderował... spoczniej?

Pan prezes spojrział w okno i cofnął się... zielony. A ja podszedłem ku oknu i zawolałem:

— Węzyk! skomenderujcie „spoczniej“.

— Rruth! — pojechała dyszkantem austriacka komenda, a za nią niesłychany łomot rzucanych na bruk trójnogów i zakładanych na nie karabinów.

Bóg nam świadkiem, że nie przypuszczaliśmy, by tak pokojowa komenda, jak „spoczniej“ i „do nogi broń“, mogła wywołać takie wrażenie na panu prezesie.

Stał się fioletowy, zakreślił się w miejscu i usiadł nagle za biurkiem.

— Paraliż! — szepnął kapelan.

— Zaraz dam panom kartkę do kasy — jęknął prezes, pisząc coś szybko na bloku.

— Bóg zapłać — rzekł mu kapelan po polsku.

W przeciagu pół godziny wychodziliśmy z banku. Ksiądz miał torbę już o wolowe prawie lżejszą, a nam było wesoło.

— Idziemy — krzyknąłem do Węzyka.

Padła komenda, parę zwrotów i ruszamy. Obejrzałem się, a za mną Zappelt: w oknie stał zielony prezes i wyglądał z za firanki.

Na dworcu zastaliśmy spokój, ale lokomotywy nie było.

— Rany Boskie! — błagał kapelan — pozwólcie mi tę torbę złożyć!

— Dobrze — śmiał się Zappelt — ale teraz trzeba warteć koło niej postawić.

Złożyliśmy torbę w jakiejś skrzyni, ksiądz wziął klucze, a Węzyk wystawił wartę.

— Idziemy po lokomotywę? — zapytał ksiądz, wyprostowując kości.

— Chodźmy, ale weźmy ze sobą kilku chłopców.

— Dobrze — powiadam — ale ze szturmkompanii.

Wzięliśmy ze sobą dziesięciu wielkoludów, obwieszonych ręcznymi granatami, i idziemy.

— Komendant dworca nie przyjmuje — oświadcza nam jakiś podoficer.

— Dlaczego?
— Bo śpi.

— Zbudzić go — pisał Zappelt — bo jak nie, to go sam zbudzę.

Poskutkowało. Wychodzi do nas brodaty i gruby, ale jakiś smutny oberlejtant. Zielone wyłogi: pospolite ruszenie.

— My z tego transportu, co stoi na trzynastym torze...

— Ach! wiem. Lokomotywy nie dam.

— Słuchaj, poruczniku — powiada mu przez „ty“ austriackim zwyczajem Zappelt — nie rób kawałów, bo możesz żalować. Nasi ludzie rozbiją dworzec w puch i proch!

— Niech rozbiją. Lokomotywy nie mam.

— Lokomotywy są — wtrącam się zбоku — widziałem w remizie.

— Ale maszynistów nie ma — powiada Szwab.

— Zapłacimy — wyrывa się nagle ksiądz — dobrze zapłacimy.

— Nic nie pomoże. W Wiedniu niczego za pieniądze nikt nie dostanie.

— Zapłacimy i panu i maszyniście — dolewa kapelan. — Dostaniesz pan tysiąc koron.

— Śmieszny pan, panie kapelanie.

— Dwa tysiące — licytuje ksiądz.

— Ale nie ma gadania!

— Trzy!

— Ależ dajcie mi spokój! Nie chcę waszych pieniędzy, bo ani ja, ani moje dzieci pieniędzy gryźć nie będziemy!

— Aha! — orientuje się kapelan — a gdybyś tak dostał skrzynię konserw mięsnych...

— Czego? — oberlejtantowi wylazły nawierzeh łakome oczy.

— Konserw.

— Ile? — oblizwał się wieczne głodny Austriak.

— Skrzynia, sto porcyj.

— Mało.

— Dwie.

Oberlejtant się namyśla.

— A ryżu nie macie?

— Owszem, znajdzie się.

— Ile?

— Woreczek, sto kilo.

— Nanno... ja spróbuję posłać po maszyniście... ale on też musi dostać.

— O niego się nie troszcz!

— A więc trzy tysiące, dwie skrzynie konserw, worek ryżu i...

— I nic więcej.

— Czekolady nie macie?

— Znajdzie się.

— Pięć kilo, dobrze? Mam małe dzieci. — W oczach widać przypochlebny sentyment.

— Dla dzieci dostaniesz i mleka kondensowanego, niech już tylko ktoś idzie po maszyniście.

*) Sześć koni albo 40 ludzi (po niemiecku).

**) Ministerstwo Skarbu.

Leon Chrzanowski

Cywil na froncie

W 17-tą rocznicę Cudu nad Wisłą

Biurowo propagandy wołało wielkim głosem na cały kraj: „Wszyscy na front”. Młodzi i bardzo utalentowani malarze różnych szkół zamalowywali tymi i podobnymi wezwaniami parkany i trotuary stolicy.

Przez dwa dni z zapalem pracowałem (jako sekretarz obywatelskiego werbunku) w tym biurze, wzywającym i posyłającym na front — artystów, literatów, inteligentów.

Przewodniczył nam Andrzej Strug. Siedziba biura był pokój w lokalu Tow. Literatów i Dziennikarzy przy ulicy Brackiej. Odwiedzali nas tam prawie wszyscy, współdziałali, radzili, pracowali.

„Weterani” Wielkiej Wojny z Sierozewskim na czele, zapaleńcy wszelkich talentów i muskulatur, zapaleńcy roku 1920-go, co, nie bacząc na wiek, siły, zdrowie i stanowiska, zapisywali się w tej komisji inteligentów-ochotników w gmachu szkolnym na Koszykowej.

Pracowaliśmy dzień i noc.

Aż drugiej nocy po posiedzeniu zarządu tej sekcji werbunkowo-propagandowej, zgłosiłem dymisję ze stanowiska jej sekretarza.

— Dlaczego, co się stało? — zapytał przewodniczący.

— Nic specjalnego — odparłem — jestem jedyny wśród was, co nie ma siwych włosów: Wszyscy na front! Nie mogę wzywać innych, nie idąc sam. To byłby kienski werbunek!

Dyskusji nie było.

Przewodniczący mnie ucałował. Inni koledzy — wszyscy starsi, lub fizycznie... innej kategorii poszli jego śladem.

Pierwszy nasz front, to była Jabłonna.

Jak znakomici cywile przekształcali się tam w wiarusów „jak sto diabłów” — to rozdział specjalny. Odłożymy opis tej metamorfozy „poczwar cywilnych” na... poczwarce wojskowe, na kiedy indziej.

— Nie potrzeba, ja to telefonem... — szepce gorliwie.

Nie minęła godzina, gdy wszedł do komendy dworca gruby, czarny człowiek. Dostał skrzynię konserw i także worek ryżu. Dwóch ludzi pomogło mu zanieść te skarby do dorożki, w której czekała mała i chuda Szwabka. Potem ci sami dwaj chłopcy asystowali mu pięknie do remizy, skąd do pociągu wrócili też z nim razem, ale już na lokomotywie.

O północy ruszyliśmy jako „Extrazug D” (*). Palaczem był jeden z górali, ekspalacz Cycoń, a feldfelbel Baran ublażał Zappelta, by mu pozwolił tkwić na lokomotywie przy maszyniście, który „mógłby” uciec. Zappeltowi też tak się podobała nasza własna, niedrogo kupiona lokomotywa, że przez całą noc siedział na niej przy heblach. Zajrzałem i ja do tej piekielnej maszyny na jakiejś stacji, ale mnie chcieli wygnać, bo było ciasno. Zappelt był zamorusany aż po oczy i zaprzężył się nasłuchanie z maszynistą, wymyślającym ze swego robotniczego stano-

Dość, że się przekształcili, a „towarzystwo” było wyborowe: eksminister Stanisław Thugutt, młodzieniaszek z piątym krzyżykiem w tornistrze; ś. p. mecenas-minister Eugeniusz Śmiarowski, znakomity krótkowidz, wzór zwykłej, szeregowej karności; cięty, prawdomówny, odważny publicysta i redaktor ś. p. Bohdan Straszewicz, wzór ofiarności i fizycznego nieporozumienia w wojsku; ś. p. Tadeusz Hołwko, burzący, korygujący jak zwykle wszystko, co było nieporządkiem; trzeci zawodowy krótkowidz Witold Giełżyński, artyści i różni wyżsi urzędnicy, którzy uznali, że celowiej będzie gdy pójdą na front, niż gdy strzec będą biurka — Roman Knoll, ś. p. Siwik, Al. Ludwikiewicz, Edward Wittig — i tylu innych, których nazwiskami można by wypełnić szpalty całe, a których się nie wy-

mienia nie dlatego, by ich trud i ofiara były mniejsze, ale którzy nie stali tak blisko, obok.

Front nasz, front 15-go sierpnia, był bardzo blisko, niespodziewanie blisko.

Ząbki, Marki, Radzymin!

Wyszedłem z bramy szpitala Ujazdowskiego w pierwszych dniach sierpnia, trochę kulawy, z lekko skałeczoną nogą. W bramie znakomitego szeregowca uściskał kap. doktor Jerzy Rogoziński, a za bramą najechała nań bryka ze znajomym porucznikiem ś. p. Wł. Falcmanem.

— Gdzie ty idziesz — zawołał porucznik Falcman.

— Wracam do pułku — odparłem z dumą — kazano mi najpierw stawić się w Jabłonie.



6. VIII 1914. R. — WYRUSZENIE KOMPANII KADROWEJ NA WOJNĘ PRZECIW ROSJI. Nakazany przez Piłsudskiego wymarsz pierwszej Kompanii Kadrowej z Oleandrów rankiem 6-go sierpnia 1914. r. rozpoczął bohaterką epopeę ostatniej walki o niepodległość. Ta garstka „straceńców”, którą Józef Piłsudski, jako „miecz polski”, rzucił na szalę wojny światowej, po pięciu latach urosła do wielkiej armii wolnej już Polski. Na zdjęciu: wymarsz pierwszej Kompanii Kadrowej. Komendant Józef Piłsudski w otoczeniu Kazimierza Sosnkowskiego, Walerego Sławka i Beliny, Prażmowskiego. Kompanią dowodzi Tadeusz Kasprzycki.

Mal. Jerzy Kossak

wiska na Habsburgów. Nastrój małego towarzystwa na maszynie był tak ciekawy, że kazałem Baranowi iść spać, a sam prawie przemocą wcisnąłem się na mostek. Kiedy dano nam sygnał odjazdu, nasz maszynista „nasz, bo kupiony wraz z maszyną, gwiżdżał jakoś tak piekielnie jednym pociągnięciem hebla, że omal nie spadł z lokomotywy. Ryk syreny tak się podobał Zappeltowi, że wrzasnął maszyniście:

Nocheinmal!*) — A maszynista z własnej ochoty ryknął jeszcze parę razy. Zappelt aż piał i bił brawo z radości.

Przyjrzałem mu się bliżej: małe ślepki błyszczały niesamowicie, a koniec ptasiego nosa był białuteńki. Było to oznaką, że Zappelt napił się. Spojrzałem w oczy maszyniście: on też miał diabła w oczach, błyszczących jak kolejowe latarnie. Zrozumiałem ich przyjaźń. Zrozumiałem tym dokładniej, gdy maszyna ruszyła z miejsca jak zwariowany koń. Cud, żeśmy pociągu nie rozerwali! Czuję, jak koła lokomotywy zataczały się po zwrotnicach, minęliśmy ostatnie latarnie i wpadliśmy

w ciemność.

— Trzynaście stacji mijamy bez zatrzymania! — krzyczał do mnie Zappelt.

— Czy on nie jedzie za przędko? — krzyknąłem mu w ucho, pokazując na maszynistę.

— Za wolno! — odpowiedział mi takim samym głosem. A potem podszedł do maszynisty, tkwiącego uroczyście przy frontowym okienku, i podał mu wyciągniętą z kieszeni flaszkę.

Maszynista przytknął flaszkę do ust i przeplukał gardło trzy razy raz po raz.

— On się urźnie! — krzyknąłem w ucho Zappeltowi.

— Nie szkodzi.

— Wywali nas!

— Nie bój! Masz, pociągnij! — nadał mi flaszkę.

Cóż miałem robić? Rum był niezły. Pociągnąłem.

Lokomotywa rwała z kopyta, trzęsąc się jak w febrze. Noc była na przełomie i cienie drzew i słupów mijały nas jak jednolity parkan. Jakieś dalekie zamglone kształty były zapewne lasami, górskimi. Przeszło mi przez myśl, że na najmniejszym skrećcie rozbijemy się

*) Pociąg specjalny.

*) Jeszcze raz.



Fragment bitwy pod Radzyminem — obraz Wojciecha Kossaka

15. VIII 1920. R. — BITWA POD RADZYMINEM. W pierwszej połowie sierpnia 1920. r. cała Polska przeżywała chwilę gorączkowego napięcia. Ofensywa bolszewicka sunęła od wschodu nawałą. Wyczerpane długotrwałymi walkami na olbrzymim froncie wojska polskie wycofały się w głąb kraju. Linia frontu wyginała się coraz bardziej — na zachód, zbliżając się ku Warszawie. Na odezwę Rady Obrony Państwa powstawały formacje ochotnicze, by zasilić przerzedzone szeregi, by powstrzymać nawałę, która niosła zagładę niepodległości Polski, a całej Europie widmo czerwonej rewolty. I oto na przedmieściu Warszawy, na polach pod Radzyminem, rozgorzał bój. Waży się losy Warszawy, Polski, Europy. Bolszewicy, nadają już przez radio, że Warszawa została zdobyta. Lecz oto w tym właśnie momencie, gdy Europa zwątpiła już w zdolność Polski powstrzymania bolszewickiej nawały, losy wojny ulegają cudownej odmianie. W walkach pod Radzyminem i na całym podwarszawskim froncie opór wojsk polskich rośnie, wściekłość natarcia olbrzymich mas najędźców rozbijają się o mur piersi żołnierzy polskich, walczących z najwyższym bohaterstwem. I oto w błyskawicznym tempie wykonany zostaje genialny plan Naczelnego Wodza — Józefa Piłsudskiego, przechylający zdecydowanie szalę zwycięstwa na stronę polską.

— Co to, kuśtykasz?
 — Tak, mam skaleczoną nogę.
 — Siadaj na brykę — ja cię zawiozę na front.
 — Ależ ja idę do kadry, do Jabłonny.
 — Nie zwracaj głowy, kto wie, gdzie teraz jest twoja kadra, pojedziesz do naszej dywizji, jesteś nam właśnie potrzebny, przydzielono nam oficerów francuskich, będziesz naszym łącznikiem. Wyślemy kartę do twego pułku, fasując cię już, wojna; nam też potrzeba trochę ochotników.
 — Ale gdzież ja jadę?
 — Na front. Do Marek!
 — Gdzie???

— Do Marek!
 Kiedym opuszczał parę dni przed tym 201-y pułk ochotniczy i odstawił transport rannych i poturbowanych do szpitali, wyruszyliśmy z frontu pod Białymostkiem. Szeregowiec — nawet dziennikarz — w pociągu transportu niewiele wiedział, co się działo. Fakt, że front był już pod Markami był dla mnie rewelacją.
 Zamilkłem.
 Bryka toczyła się szybko.
 Kiedym wszedł do małego dworku, gdzie stał sztab 8-ej dywizji, wiozący mnie porucznik Falcman „wręczył” mi jej szefowi sztabu, pułk. Bagińskiemu i dowódcy, obecnemu gen. Burhardt-Bukackiemu. Formalności kart służbowych, fasujących nową podporę 8-ej dywizji przekazano kancelarii. Mnie dano od razu pierwszą strategiczną robotę.
 — To jest mapa pozycyjna naszej dywizji — powiedział pułk. Bagiński — proszę ją przekalkować, dać objaśnienia francuskie i przedstawić ten stan dzisiejszego dnia przydzielonym do naszego pułku oficerom francuskim.
 Zabrałem się do roboty. Spojrzałem na mapę wojenną i z niej się dowiedziałem nagle, że jedną z krańcowych pozycji „w rękach Polski” tuż obok nas, na moim nowym froncie, był dom mojej mat-

ki, gdzie, jak się później dowiedziałem, sama jedna „jako „cywilna ludność”, pozostała ze sztabem pułku artylerii, która, broniąc naszego zagrodowego majoratu”, broniła również przekroczenia szosy lubelskiej pod Wiozową.
 Jak na jeden dzień wrażeń, dla młodego (wojennie) żołnierza, miałem dość.
 Front w Markach! Dom rodzinny — redutą Leona! Zagłębiłem się w kopiowanie mapy. Nieco później ciceronowałem naszym attaché francuskim.
 Stary podpułkownik był zimny, grzeszny, taktowny, sztywny. Młodszy major wrzeszczał o byle co, uważał, że wszystko było źle i beznadziejnie, o ile mu na obiad ordynans — hallerczyk nie zwędził gdzie kury — zato po obiedzie częstował marylandem, czarną kawą, odprawiał wspólne wspominki o Paryżu i nagle, przy silniejszej salwie, zrywał się, brał mnie jako tłumacza i szliśmy ku pozycjom.
 Skoro oficerowie francuscy zapoznali się z mapą — zdecydowali nagle, że idzie-

bel jeden, drugi, i z wolna zacząłem różnicować pojedyncze drzewa i słupy. Po półgodzinie wjechaliśmy na jakąś stację i zatrzymaliśmy się tuż za nią. Maszynista kłął:
 — Himmelkreutfdonnerwetternocheinmal!! Przejechaliśmy studnię! — cofnął kilkanaście metrów i kazał palaczowi natoczyć wody.
 Do lokomotywy podszedł urzędnik w czerwonej czapce.
 — Czyście oszaleli?! — Przyjechaliście o pięć kwadransów wcześniej!
 — Chwała Bogu, że nie za późno — odpalił Zappelta.
 — A czy wiecie, żeście zgubili ostatni wagon?
 — Jakto?
 — Urwał się. Biegł za wami jakiś czas, ale pod górę zwolnił, a potem wrócił się w dół i na trzeciej stacji rozbił zastawę na ślepy torze.
 — Tak? to nie szkodzi. Tam było tylko siano.

Uczulem, że zaczynamy zwalniać, przybierając tempo zwykłego błyskawicznego pociągu. Świt zaczął rozrzedzać mroki nocy. Maszynista kołysał się na nogach, trzymając się lewą ręką hebla, a prawą korbę koła przekładni. Z lampki naftowej, wysoko umieszczonej, padało mu na puciołwate policzki drgające żółtawe światło. Cienie pod nosem i oczyma były zielono-czarne jak u trupów. Podszedłem doń bliżej i złożyłem ręce jak do modlitwy.
 — Langsam!*)
 Nie spojrział na mnie. Małe, zapuchnięte, niby u słonia, oczy miał wbite w poranną mgłę. Poklepałem go po ramieniu. Pochylił się ku mnie.
 — Langsam! — błagałem głosem lwa, gdyż miałem uczucie, że nie słyszy.
 Wyciągnął za siebie rękę, w którą Zappelt znowu włożył fiaskę. Grubas wypił niewiele, bo rum był już tylko na dnie, i wprawnym ruchem rzucił butelkę na wiatr. A potem dotknął delikatnie ucha z grubego drutu i maszyna zapłakała, jak zraniona foka. Przełożył rękę na he-

*) Prędzej!
 *) Wolniej.

(Dokończenie na str. 12)

my na front do Okuniewa. Stał tam, jako najdalej wysunięty, batalion 21-go pułku pod dowództwem maj. Przyjałkowskiego. Sztab ulokował się w chałupie, niedaleko kościoła. Na wieży był punkt obserwacyjny. Plebania i ementarz pod nieustannym ostrzałem bolszewickim. Sąsiednia chałupa o kilkanaście metrów od siedziby sztabu miała rozwalony szrapnelem szczyt. Nasze wejście do izby, gdzie urzędował dowódca, paru oficerów i telefon, uczeili bolszewicy szrapnelem, co lupnął w brzeg ogrodzenia ementarnego tuż przed oknem. Parę innych wiwatowych szrapneli gruchnęło bardzo blisko w czasie, gdy, jako łącznik — tłumacz, zgłębiał tajniki strategii, w dumnym złudzeniu, że ode mnie zależy dalszy los bitwy. Stawałem się doświadczonym Napoleonem niemal błyskawicznie!

Ogień bolszewicki ustał. Moi francuscy sztabowcy wiedzieli już wszystko. „Pójdziemy teraz obejrzeć baterie i zaisieki przedpola“ — orzekł podpułkownik. Maj. Przyjałkowski, jako dowódca i gospodarz, poprowadził nas, pełen uprzejmości. Za plotem ementarza, przez zarośla, okrążyliśmy kościół, docierając do piaszczystych pagórków. Tam w okopach wśród sosen i zasłon z gałęzi stały ukryte działa. Po drugiej stronie, w nizinie zarosłej krzakami, bagnem, jeżynami — zaisieki z drutów broniły dostępu. Kiedyśmy mieli iść ku drugiemu okopowi — podpułkownik francuski zauważył, iż w izbie sztabowej zostawił swą lornetkę. Byłem najmłodszy... rangą, ruszyłem więc z powrotem do sztabowej chałupy. W drodze powrotnej sądziłem, że będę prędzej, gdy, miał kryć się krzakami, pójść ku okopom przez pusty, długi ugór. Skracano mi to drogę przynajmniej o pół kilometra. Wziąłem więc kierunek na ugór.

Kiedy jednak byłem już na jego środku, wspaniały rozłożysty szrapnel zaświergotł nade mną i grzmotnął o kilkanaście metrów ode mnie. Jak wiadomo, szrapnele są bardzo towarzyskie, chodzą stadami. Po pierwszym nadleciał drugi, za nim trzeci, dziesiąty.

Z pierwszego i drugiego nie byłem zadowolony.

W dalszą drogę ruszyliśmy wolniej. W przeciwną stronę mijaly nas pociągi oblepione żołdactwem aż po dachy. Na kilku wagonach widzieliśmy ludzi zabitych w tunelach, czy na mostach. Tak wracali Austriacy z Małopolski i Ukrainy. Mijaliśmy czeskie, a raczej morawskie stacje, aż wreszcie w Morawskiej Ostrawie przyszło do awantury.

— Pijanemu maszyniście nie pozwolimy jechać — pienieł się jakiś brat — Cześć! Ale Zappelt się uparł, że „takiego maszynisty w życiu nie widział“, i nie dał go sobie zabrać.

W pewnej chwili zauważyliśmy, że na dworcu postawiono dwa karabiny maszynowe. Zappelt się wściekł! Skoczył do wagonów i z drzwi i okien kazał wystawić lufy naszych. A potem pognął do maszyn i wrzasnął swemu maszyniście: Naprzód!

Ruszyliśmy! Nie padł ani jeden strzał.

W nocy byliśmy w Krakowie, a potem żółwym krokiem przez trzydziści sześć godzin wleliśmy się do Nowego Sącza. Już od Grzybowa cały pociąg ryczał bezustanku: „Nie damy ziemi...“ Jeden uczył się od drugiego i, co który ustał, to za-

czynał inny. To był śpiew! Gluszył huk pociągu. Ale na nowosądeckim dworcu wysiadło nas wszystkich sześciuset. Reszta zwiłała po drodze do swych wsi, by się zgłosić za tydzień, czy nie ma jakich rozkazów.

Zappelt dał swemu maszyniście świadectwo: „Zaświadczam niniejszym, że Edgar Selzer, zawodowy maszynista kolei austriackich, przeprowadził transport wojskowy „Extrazug D“ z Wiednia do Nowego Sącza bez wypadku, za co zasługuje na najwyższe uznanie. 1000 koron (słownie tysiąc) oraz skrzynka konserw mięsnych (Gulaschkonserwen) stanowią jego dobrze zasłużone honorarium, którego mu na granicy Polski odbierać nie należy. Równocześnie osobnym piśmie upoważnia się maszynistę Edgara Selzera do zakomunikowania komendantowi dworca północnego w Wiedniu, że zajechaliśmy szczęśliwie, że lokomotywy jednak odesłać nie możemy, gdyż, zapłacona gotówką, stanowi już własność polskiego taboru kolejowego.“

St. Zappelt,
porucznik Wojsk Polskich



21. IV. 1919. r. — Zajęcie Wilna przez wojska polskie pod dowództwem Józefa Piłsudskiego

się szrapnelom, tak rozrzutnie na jezdnię, że część szafowanymi!“.

Wyprostowałem się więc jak najdłużej, głowę zadarłem tak, że tylko nie dołem, łęstwo strzelających uniemożliwiło zaczepienie nią o jakiś szrapnel. I proszę, jak kij waliłem do pagórków. — „Gdy ciebie tak obstrzelano — wołał wesoło do mnie porucznik Falcman — szedłeś jakbyś stale wśród szrapneli łaził! Ten twój stary francuz od lornetki z początku się w zaniepokoił, potem powiedział dwa razy „brawo“ i już wcale nie patrzył — tyli Co dalej baterię oglądał.“

— „Dziadusia pod Samosierrą obstrzelali — odparłem — to się dziedzić! Andi pomimo to wołałem być już wśród pagórków niż na tym bohaterskim ugorze. Rac-

Obstrzelano nas już dokładniej Surazem! Tam kula dum-dum potrzała rękę Stanisławowi Thuguttowi, stamtąd odwoziłem poharatanego Hołowkę, tam odwrócić zginął Bohdan Straszewicz, z naszej sekcji pozostało aż... trzech z nich do boju, tam pierwszy mój sąsiad trup leżał tuż obok o parę kroków w wie torfowym, tam przez parę tygodni tkwił pod ostrzałem szrapneli, rabinów maszynowych i piechoty bolszewickiej — bez prawa odstrzału.

Łatwiej się znosi szrapnele, gdy się prawo iść, gdy się jest samemu sobie wodcą i całym oddziałem, niż gdy się żyje na pozycji z zakazem strzelania.

Inspekcja nasza tymczasem dobiegła końca. Szrapnele bolszewickie znowu milkły. Okrężną drogą wróciliśmy do sztabowej chałupy — skąd w godzinę bryka dowiozła nas do Ząbek.

— „Jutro pojedziemy na pozycję Radzymińska“ — wydał rozkaz pułkownik, gdyśmy się rozstawiali wieczorem.

Ale jutro nie pojechaliśmy do Radzymińska. Bo w nocy rozpoczęła się nasza ofensywa. Główny dział, grzechot karabinów stał się huraganową, najradośniejszą orkiestrą tej nocy. Zostawiłem pod dowództwem jednego ze znajomych podporuczników dowodzących częścią kompanii sztabowej — „parłem“ wraz z nią niewiedzialnie, wroga.

Złiśmy przez całą noc przez lasy, rzeki, bagna, piaski... a kiedy nas brząsk okazało się, żeśmy się posunęli o kilometr naprzód!

Cały poprzedni okres dwutygodniowej kampanii odbyłem w odwrocie, w odwrocie, w którym nasza ochotnicza wizja szła naprzód, a w rezultacie ona cofała się cofać, bo to tu, to tam puszczała boki! Bez przesady i fanfaronady twierdzić, że kto umie obserwować, był szeregowcem z nakazu swych woźni — ten mógł się nauczyć wojny niespo- nie szybko i do cna jej grozę poznać kim właśnie, jak nasz był, odwrocie.

A tu nagle, po nocy huraganowej, salw, idziemy naprzód. Tej zmiany do nastroju, życiowego sensu nie docenił kto tego sam nie przeszedł!

Widziałem pułki całe wyekwipowane świetnie, wypoczęte, dzielne, z piętami w ustach, ze wspaniałymi kołmi, z białymi lśnącymi działami, pułki regularne, wzięte, nie zlepek ochotniczy — widziałem je jako łącznik — kwatery na pozycje pod Białymstokiem — i w

tem tych samych ludzi po dwóch dniach odwrótu, zdemoralizowanych, rozbitych, idących nie szykiem, lecz kupą! I widziałem później łachmaniarzy, brudasów, co w ofensywie szli jak diabły, gubili kuchnie, intendentury, artylerię — i darli się naprzód, aby tylko dopaść, dopędzić uciekające kohorty bolszewickie.

Właśnieśmy zaczęli to parcie, zanęcając się odrobaciami nasz odwrót.

Całe przedpołudnie i dzień następny trwało zmaganie. O świcie wróciłem do sztabu na swój łącznikowy posterunek. Co mogłem, to objaśniłem moim „znakomitym cudzoziemcom”, ale wiadomości się przyrywały, zmieniały, łącznicy łatali, plutanci galopowali lub mknęli autami. Na naszej dywizji i w sąsiedztwie pod Radzyminem ogniskowało się natarcie i kontrnatarcie. Sytuację poznawało się raczej po oczach, co biegły po mapie, niż ze słów informujących. Nagle o zmierzchu wpadł na mnie na ganku jeden z oficerów łącznikowych. Był niesłychanie podniecony, pedził z pozycji. „Niesłychane, — rzucił mi w przelocie — podczas obstrzału karabinów maszynowych stał ksiądz! Wstał w krzyżem — za nim wypnęła się gromada dzieci. Dzieci, wyrostki — żołnierze. Poszli naprzód. Połowa zginęła — aleśmy zwyciężyli! Bolszewicy uciekają!”

To było tuż. Obok nas. Początek — czy punkt kulminacyjny — Cudu nad Wisłą!

— Ksiądz — Skorupka!

Ksiądz — bohater, co, wbrew wszelkim przepisom sztuki wojennej, powiększając liczbę strat i ofiar, stał się tym pejskiem, który zdecydował o rezultacie, stał się symbolem ofensywy podwarszawskiej.

Nie pojechaliśmy z oficerami francuskimi do Radzymina, bo znów do Okuniewa rzuciła nas ofensywa. Zmienił się rygląd pół. Okuniewo, Tuszcz, Wyszków, Ostrołęka „migaly” przed nami — wdarliśmy do granicy, aby dopaść uciekających bolszewików.

To był poprostu wyścig na przelaj, z alwami, szarżami, braniem jeńców, niezdolności segregowania łupu wojennego. To była wojna sienkiewiczowska niemal, pułki szły jak słynni „zagończycy” z rylogii. Potyczki i defensywne kontrataki wroga były świętem dla goniących.

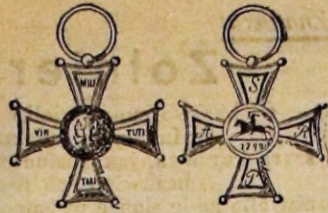
Szliśmy naprzód.

Moje „cywilne” stosunki umożliwiły mi zmianę służby. Pożegnałem oficerów francuskich. Znałem teren, po którym szła nasza ofensywa. Prздептаłem wiele ścieżek na Kurpiach jeszcze za czasów czerniowskich, w pierwszych wycieczkach krajoznawczych. Pamiętałem niektóre różki lepiej niż... mapy. Przydzielono mnie do patrolujących wywiadowców kompanii sztabowej. Szło się często o parę godzin przed gros nacierającej dywizji. Szliśmy ku granicy Wschodnich Prus.

Wróg uciekał.

Bitwa pod Warszawą — była wygrana! Polska uratowała Europę. Umacnialiśmy Niepodległość. Właczaliśmy bolszewizm w granice Sowieckiej Rosji.

Od granicy Prus przerzucono naszą dywizję — co pod Ząbkami, Markami i Radzyminem ramię w ramię z całą armią wywalczyła stolicy spokój — na Stryj, na południe. Szepiówka, Zbaraż, Jampol, Zastaw, Połonne — widziały naszą ofen-



1. VIII. 1919. R. — ODRÓDZONA POLSKA WSKRZESZA ORDER „VIRTUTI MILITARI”. Przez pierwsze dwa lata odbudowanej niepodległości, Polska w zbrojnej walce z wrogami ustala swe granice. Wysiłkiem Naczelnego Wodza — Józefa Piłsudskiego, wspartego przez cały naród, powstaje silna armia polska, w niezliczonych bojach, opromienionych aureolą zwycięstw, składająca nieustannie dowody dzielności i męstwa. Jako nagroda za wybitne czyny wojenne ustawą sejmu z dnia 1. sierpnia 1919. r. wskrzeszony zostaje order wojskowy „Virtuti Militari”, ustanowiony przez ostatniego króla polskiego — Stanisława Augusta. Dzięki tej ustawie najbardziej zasłużeń w bojach o utrwalenie niepodległości w latach 1918.—1920. otrzymali to najzaszczytniejsze odznaczenie wojenne.

Ilustracja: krzyż srebrny orderu „Virtuti Militari” w/g wzoru z 1792-go r.

sywę, gdzie już walki nie były tak huraganowo proste.

Szliśmy naprzód! Niejeden „cywil”, to tę kampanię odbył,

Jan Kurnatowski

Cud nad Wisłą a Europa

W roku zesłym ukazały się pamiętniki byłego szefa angielskiej służby wywiadowczej t.zw. Intelligence Service sir'a Basila Thomsona. Po zakończeniu działań wojennych w listopadzie 1918-go roku Thomsonowi powierzono pieczę nad bezpieczeństwem angielskiej delegacji w Paryżu do czasu zawarcia traktatu pokojowego w Wersalu. Stanowisko to, a więc stały kontakt z ludźmi, którzy wówczas decydowali o losach powojennej Europy, dało mu możność obserwowania szeregu ciekawych obserwacji, które, ze względu na zrozumiałość, dopiero po upływie dłuższego czasu mogły zostać opublikowane.

Trafna charakterystyka „tygrysa” Clemenceau, marzyciela Wilsona, przedstawicieli Włoch i Wielkiej Brytanii — Orlando i Lloyd George'a, opis niekiedy gwałtownych scysji między przedstawicielami doniedawna zjednoczonych w ciężkiej walce narodów — oto niedyskrecje, które przejdą jednak do historii dziejów świata.

Dla nas najbardziej interesującym jest rozdział, zatytułowany „Niepodległość Polski”, ilustrujący nastroje panujące w Europie Zachodniej latem 1920-go roku, gdy bolszewicy zbliżali się do Warszawy.

Te chwile tragiczne, gdy nieprzyjaciel opanował znaczną część naszego kraju i poważnie już zagrażał stolicy, przeżywane były i na Zachodzie z wielkim niepokojem, a nastroj ten graniczył niemal z paniką. Zdawano sobie sprawę z całą świadomością — pisze Thomson — że w razie zwycięstwa czerwonej armii nad Polską nie nie powstrzyma dalszego pochodu bolszewizmu przez Niemcy na Francję i Anglię. Tymczasem sytuacja polityczna mocarstw koalicji, zmęczonych długotrwałą wojną, była taka, że na pomoc zbrojną ze strony tych mocarstw Polska liczyć nie mogła. Gwałtowna agitacja Partii Pracy uniemożliwiłaby interwencję Anglii, choć rząd angielski zdawał sobie sprawę z po-

co umiał na nią patrzeć, co idąc w szeregiach w dzień był jednostką, ułamkiem, a wieczorem często wśród sztabowych oficerów wielu rzeczy uczył się rozumieć — z żalem odchodził. Z żalem odchodził od tego, co było jego świętym obowiązkiem, a co przez wspólny trud i niebezpieczeństwo stało się nie tylko wspomnieniem, ale ukochaniem, drogocenną wartością!

Wielu niewycwiczonego poległo w okresie walk sierpniowych.

Wielu „szarych” żołnierzy wróciło — i z powrotem zaprzęgåło się do swego „szarego obywatelstwa”.

Ale okres tego olbrzymiego, patriotycznego entuzjazmu pozostanie w życiu narodu, jako jeden z najcenniejszych historycznych momentów.

Z tych, co w sile wieku, lub nawet u schyłku swych sił poszli na front w 1920 roku — nie potworzyły się specjalne elity:

Przyszli, spełnili swoje, odeszli — odeszli, jak pospolite ruszenie obowiązku narodowego.

Imię ich? — Sto tysięcy, czy legion. Legion, który się zawsze znajdzie w Polsce — by jej granic i niepodległości bronić. Bezimienny, szary, wszechstanowy, poprostu polski legion!

wagi sytuacji i skutków dla całej Europy ewentualnej przegranej Polski. Francja wysłała misję wojskową, na czele której stanął jeden z najzdolniejszych oficerów — generał Weygand.

19. lipca — pisze dalej Thomson — nasi agenci zawiadamiają, że między armią czerwoną, a Warszawą znajdują się nieliczne, rzekomo, wojska polskie w odwrocie i, jeżeli w dalszym ciągu armia sowiecka posuwać się będzie w tym tempie, to w ciągu najdalej 10 dni Warszawa będzie zdobyta. 4-go sierpnia 1920 roku, a więc dokładnie w szóstą rocznicę historycznego dnia, w którym Anglia przystąpiła do wojny, Lloyd George zwołuje radę ministrów dla zaaprobowania noty do Kamieniewa i Krasina, w której uprzedza Sowiety, że jeżeli armia czerwona w dalszym ciągu walczyć będzie z Polską, to zerwanie z koalicją stanie się nieuniknione. Władze Republiki Rad jednak nie dają się zastraszyć. Orientując się w sytuacji, pojmują, że są to tylko czcze słowa, które nie będą poparte siłą orężną, a więc nie ma się czego obawiać! Dopiero 10-go sierpnia Kamieniew odpowiada na notę Wielkiej Brytanii. Żąda on ograniczenia armii polskiej do 50.000 ludzi, stworzenia milicji robotniczej, jako siły policyjnej, zakazu fabrykacji broni i amunicji na terytorium państwa polskiego; ziemia ma być odebrana dotychczasowym właścicielom bez odszkodowania i rozdana rodzinom ofiar wojny. Jest rzeczą jasną, że przyjęcie tych warunków stanowiłoby przygotowanie do opanowania kraju przez doktrynę bolszewicką.

To, co dalej nastąpiło po bitwie pod Radzyminem, nazywa Thomson cudem. Ze wstydem — pisze on — przyznaję, że cud, który się urzeczywistnił, był dla mnie niezwykle niespodzianką. Był to odpowiednik bitwy nad Marną po sześciu latach. (Nie zapominajmy, że autor pamiętników stał na czele najlepiej zorganizowanego wywiadu na świecie).

Depeşe o decydującym zwycięstwie

armii polskiej pod naczelnym dowództwem Józefa Piłsudskiego i wzięciu do niewoli 70.000 jeńców, otrzymuje Thomson, gdy Lloyd George z trwogą oczekuje wiadomości o upadku Warszawy — i tu następuje epizod niepozabawiony humorem:

Kilka dni przed tym przybył do Anglii pewien niebezpieczny agitator komunistyczny, którego trudno było się pozbyć, gdyż jedyny kraj, dokąd można go było odesłać, to Rosja Sowiecka. Narazie żaden okręt w tym kierunku nie odpływał, a admiralicja, rzecz prosta, nie była skłonna do przeznaczania swoich jednostek na transport tego rodzaju osobników. Kazałem więc — pisze Thomson — niepożądanego gościa tymczasem aresztować. Minoło kilka dni, otrzymuję wezwanie, abym natychmiast stawił się w gabinecie prezydenta ministrów. Wezwanie to otrzymałem właśnie w chwili, gdy nadeszła wiadomość o zwycięstwie armii polskiej.

Zastąłem premiera w stanie niezwyklego wzburzenia z rozwianą siwą grzywą, w pokoju panował niesłychany nieład. Nigdy dotąd nie widziałem go tak wzburzonego.

— W chwili, gdy wyniki konferencji Pokojowej są zachwiane, pan aresztuje wybitnego bolszewika i daje komisarzom sowieckim pretekst do wystąpienia przeciwko nam. Wie pan, co teraz nastąpi? W najbliższych dniach ich wojska zajmą Warszawę, za kilka tygodni przejdą przez Niemcy, następnie wezmą Paryż i nic nie zdoła powstrzymać ich przed wtargnięciem do Anglii!

Chcąc uspokoić premiera, a zarazem przerwać potok jego wymowy, dałem mu do odczytania depezę, którą przed chwilą otrzymałem. Lloyd George nagle przerwał swoje przepowiednie, wygląd jego zmieniał się w miarę czytania, oczy zaś świeciły radością.

— Czy ma Pan zaufanie do człowieka, który to wysłał? — spytał.

— Bez wątpienia.

— Ale jak to się mogło zdarzyć? — wyszeptał. — To nie do wiary... Pan komunikuje treść radzie ministrów.

— Tak jest — odparłem — lecz chciałem, aby pan premier był najpierw poinformowany.

Lloyd George zapomniał o sprawie, dla której mnie zawezwał. Uważałem, że nastąpiła właściwa chwila, aby mu o niej przypomnieć.

— Ten człowiek — rzekłem — którego aresztowałem, chce wrócić do Rosji, ale nie mamy okrętu.

— Należy go koniecznie wydaląć z Anglii...

— Jedynym sposobem byłoby wysłać go na kotłorpedowcu, lecz admiralicja waha się z powodu kosztów...

— No, to niech pan idzie do lorda Longa i powie mu w moim imieniu, że pieniądze powinny się znaleźć.

Audjencia była skończona. Oto stan nerwów — kończy swoje opowiadanie Thomson — ludzi, którzy w owym czasie zajmowali najwyższe godności...

Nie dość jest pismo CZYTAĆ, trzeba je jeszcze ROZPOWSZECHNIĄĆ wśród swoich bliskich i znajomych oraz samemu PRENUMEROWAĆ (t. zn. płacić za jego otrzymywanie).

Pamiętaj, że miesięcznie (cztery ładne, ilustrowane i bogate w treść numery) „Nasze Życie” kosztuje TYLKO 80 (osiemdziesiąt) santymów.

Juliusz Znaniecki

Żołnierz Nieznany

Uniósł mnie wicher wojenny, wielki
fanatyzm ludzkości,
Rozmiata szarą kurzawą, jak nasion
bezkwiatnych proch,
Ostro przeświała mnie słońce promieniem
złotej wieczności,
Bębni mną deszcz w tarczy okien —
srebrzysty i chłodny groch.
Gniją po glebach mundury, powłoki od
krwawień rude,
Mundury moje przesiąkłe życiem
surowym mych ciał.
Powielekroć ciężka ziemia twardo
przygniotta je brudem,
Powielekroć przywaliły gruzy kruszących
się chwał.
Sztandary moje! Ptaszyska! Strzępiaste
liście — olbrzymy,
Ile z waszego łopotu dziś szumi w
listowiać drzew,
Ile z was stroi melodią ugorne
piaszczyste wydmy.
Ile z was rdzawi po lasach płożący
zorzami mech?
Ja jeden jestem niezmienny w kolisku
kipiącym świata
I moja sprawa jest jedna ostra, a jasna,
jak miecz.
Gdziekolwiek imię ojczyzny wiatr
dziejów z mroku odmiata,
Tam ja powstaję i ginę, patrzący
naprzód i wstecz.

Z życia Polaków na obczyźnie

Na froncie młodych

OTWARCIE OŚRODKA OBOZOWEGO ŚWIATOWEGO ZWIĄZKU POLAKÓW Z ZAGRANICY.

W dniu 1. VI b. r. otwarty został, w obecności wicedyrektora, Światowego Związku Polaków z Zagranicy p. Tadeusza Kowalskiego, ośrodek obozowy Światowego Związku. Ośrodek, gdzie szkolić się będzie młodzież niemal ze wszystkich terenów polskich zagranicą, położony jest w pięknej okolicy górskiej koło Zakopanego. Uczestnicy mieszkają w wygodnych, estetycznie urządzonych budynkach. Kadre instruktorską stanowi młodzież krajowa. Da to możliwość zetknięcia się bliższego młodzieży krajowej z młodzieżą polską z zagranicy.

Ośrodek posiada dużą świetlicę z radiem i własną bibliotekę. Niezależnie od programu wychowawczego w ośrodku szeroko uwzględniony będzie sport i wychowanie fizyczne. Dlatego ośrodek wyposażony został odpowiednio w sprzęt sportowy.

MŁODZIEŻ POLSKA NA DALEKIM WSCHODZIE. W Charbinie istnieje i rozwija coraz żywszą działalność Związek Młodzieży Polskiej, grupujący młode pokolenie Polonii na tym odległym, daleko na wschodzie rzuconym, terenie. Ostatnie walne zebranie Związku wykazało zarówno wzrost liczby jego członków, jak i rozwój działalności. Przy Związku założony został Klub sportowy, posiadający drużynę piłki nożnej oraz własny plac sportowy.

Grupa wycieczki Związku Narodowego Polskiego ze Stanów Zjednoczonych w Nowym Jorku przed wyruszeniem w podróż do Polski



Ten sam po bruzdach leżący, podarty,
zbutwiały w roli,
Prawem niemoty wstrojony w ciał
żywych dudniący rytm,
Milczę uschłymi wargami wśród pulsów
ognistych stolic,
Pod dostojnością marmurów
rzeźbionych na dłonie pływ,
Czarne mi kwiaty żałoby wyrosły w
piwnicach żreń,
I smutek ludzki nade mną i wieńce i
smugi szarą,
Kostnieję tu — najpiękniejszy ze
wszystkich człowieczych cieni,
Kruszę się tam — pod pługami, pod
chwiejną zieloną trawą,
Zrozumcie sens mój najgłębszy, zaszczepę
przetrwania, stokrotny,
Zrozumcie miłość, co każe mym ciałom
plonać i gnąć,
Co każe z drutów kolczastych dobywać
poryw samotny,
Bagnety tępić piersiami i ziemię
szkieletem ry,
Niosę przez czas i przez przestrzeń znak
śmierci ukuty z blasku,
Niosę mej doli kształt trudny, lepiony
z pyłu i krwi,
Podsycam — palny materiał, żar zniczo
każdemu miastu
Zanurzam siebie postokroć w przeznacz
burzliwy wi.

AKADEMICY POLSCY W PRADZE TWORZĄ FUNDUSZ STYPENDIALNY. Ognisko Polskie Koła Akademików w Pradze założyło Fundusz Marszałka Józefa Piłsudskiego. Inicjatorzy kreślają, że kierowali się nie tylko wzorem Polonii zagranicznych, ale przede wszystkim własnymi uczuciami, które nakazywały uczcić im w ten sposób wiekopomne zasługi i czyny Władcę Ciała Polski, Marszałka Józefa Piłsudskiego.

„Celem Funduszu — według Regulaminu uchwalonego dlań na Walnym Zebraniu Ogniska Polskiego K. A. — jest udzielanie bezwrotnych stypendiów członkom Ogniska Polskiego z odsetkami kapitału Funduszu”. „Na Fundusz składają się: a) 30 proc. czystego rocznego dochodu Ogniska Polskiego, wpłacanych przez przeciąg trzech lat; b) dobrowolne składki członków Ogniska Polskiego; c) dobrowolne składki akademickie i innych organizacji; d) dobrowolne składki i darowizny z dobrej woli, narodowości polskiej i innych, które w ten sposób będą się chcieli przyczynić do uczczenia pamięci Wielkiego Wodza”.

Z najwyższym uznaniem podkreślić należy, że twórczy się Fundusz zawdzięcza swe powstanie własnej inicjatywie Ogniska Polskiego Koła Akademików w Pradze. Przy tym nie tylko miłośnik akademicka na terenie Pragi, ale i cała Polonia Czechosłowacji stanęła zgodnie w jednym szeregu z twórcami dla zbudowania tego wielkiego dzieła.

zys
dość
m m
o Pe
Nie
nać I
ac się
Wsi
adł w
W
st ju
okład

2)



RYBY
śpiewają
W
UKAJALI

„Ryby śpiewają w Ukajali“ — to wśród książek podróżniczych jedna z najpiękniejszych i najosobliwszych. Arkady Fiedler, mieszkaniec spokojnego Poznania, co parę lat wyrusza na daleką, długą i romantyczną wyprawę. Nie zabiera ze sobą cennych aparatów naukowych, nie dobiera wybitnych badaczy do pomocy, nie szuka poparcia u instytucji naukowych i nie zamierza prowadzić żadnych badawczych studiów. Wyrusza sam jeden, wyrusza dlatego tylko, że nie może się oprzeć pobodom i pokusom takiej wędrowki, — dlatego, że syrenim głosem wołają go ryby śpiewające w Ukajali, najcudniejszymi barwami wabią go kolibry i motyle i cała flora i fauna niezmiernych rzek amerykańskich. Z podróży tych przywozi najpiękniejsze i najosobliwsze okazy zwierząt, ptaków i owadów, — najbarwniejsze wspomnienia. Zarówno wtedy, kiedy wspomnienia te dotyczą wszelkich stworzeń amerykańskich, które Fiedler zna na wskroś i opisuje w sposób czarujący, jak i wtedy, kiedy dotyczą napotkanych ludzi i spraw, — każda jego opowieść jest małym arcydziełem stylu, obserwacji, wdzięku i plastyki. Czy to będzie opowieść o tapirze, czy o pająkach niezmordowanie snujących swe sieci, czy o straszliwych pochodach mrówek, czy iście conradowska opowieść o właścicielu statku na Amazonce, czy pełna humoru o przyczynie wojny boliwijsko-paragwajskiej — zawsze potrafi Fiedler znaleźć dla niej odpowiedni ton, opowiedzieć ją w sposób prosty, pozornie zwyczajny — a przecież nadać jej wszelkie cechy artystycznej pełni i wyposażyć ją w tyle wdzięku i czaru, że starczyłoby go na całą powieść.

Wszyscy są w nim zakochani. Porwany energią, wdziękiem i młodością życia, bijącą od tej niezwyklej postaci, zaproponowałem mu po 10 minutach znajomości, ażeby jechał razem ze mną do Peru.

Nie może. Musi jechać do Matto Grosso. Po co? — Zaczernić pełną piersią świeżego powietrza! — odpowiedział śmiejąc się.

Wsiadł na nasz okręt w Cearã i po dwóch dniach jazdy wysiadł w Parã. Znikł z okrętu jak cudny, błyszczący meteor.

W tej chwili wpada zdyszany Meschede i przerywa pisanie. Jest już wpół do pierwszej. Mam przyjść szybko i pocichu na pokład. Łódź z przemytnikiem podpłynęła.

MAŁY CZIKINIO I WIELKA AMAZONKA

Mały Czikinio ma 6 lat i wraca z matką nad Amazonkę po trzyletnim pobycie w Portugalii. On już raz widział Amazonkę, a ja jej jeszcze nie widziałem i z tej racji mały Czikinio ma wielką nade mną przewagę. Opowiada mi o Amazonce niestworzone rzeczy. Raz tylko wyprowadziłem go z równowagi. Mianowicie, nie mógł mi powiedzieć, jak wielka jest Amazonka. Długo kombinował w małej główce, aż w końcu wynalazł: Amazonka jest tak wielka jak jego ojciec (do którego teraz wraca), a trochę mniejsza od samego Pana Boga.

Czikinio ma rację: Amazonka jest bardzo wielka. Byliśmy jeszcze na Atlantyku, a morze zaczynało już zmieniać swą dotychczasową modrą barwę i zapowiadać, że coś się dzieje. Woda stawała się coraz bardziej zielona, potem coraz bardziej żółta i mętna, aż w końcu po kilku godzinach zupełnie żółkła. Wtedy oświadczone nam, że jesteśmy już w samym ujściu rzeki, chociaż widoczny był tylko jeden brzeg, drugiego ani śladu. Ładna rzeka, z której widzi się tylko jeden brzeg!

Tak płynęliśmy przez kilka godzin. Powoli zaczęły się rysować na północy jakieś mgliste kształty aż ujrzeliśmy tam ziemię. Nie był to jeszcze przeciwległy brzeg rzeki, lecz wyspa Maraço.

Tu mały Czikinio stał się szowinistą brazylijskim i chwalił się, że wyspa Maraço jest tak wielka, jak cała Portugalia. Przynależałem mu rację, lecz zarazem pouczyłem go, że na tej pięknej wyspie są tysiące brzydkich kajmanów z których każdy może połknąć naraz pięciu Czikiników. To nic, powiedział Czikinio, gdy dorośnie, to powystrzela wszystkie kajmany. Czikinio jest bardzo odważny, ale kajmanów jest tam podobno takie mrowie, że je trudno wytepić.

Za wyspą Maraço toczy się dopiero właściwe, północne ujście Amazonki, które, razem z południowym, zajmuje przestrzeń blisko 400 kilometrów, czyli prawie tyle, ile wynosi odległość z Warszawy do Poznania. Szerokość ujścia nie daje należytego wyobrażenia o olbrzymiej masie wód, spływającej z systemu Amazonki do Atlantyku. Trzeba ponadto uwzględnić nieprawdopodobną głębokość tej rzeki, wynoszącą przy ujściu przeciętnie około 100 metrów, miejscami znacznie więcej, w Manaos, o 1700 kilometrów powyżej ujścia, 50—70 metrów, a pod Iquitos, prawie 5000 km. w górę i już niedaleko Kordylierów, jeszcze 20 metrów. Tyle wynosi głębokość w czasie posuchy, natomiast w czasie deszczów, od października do maja, przybierają wody Amazonki do 10 metrów. Dla porównania przytoczę fakt, że przeciętna głębokość Wisły pod Warszawą wynosi, jeśli się nie myli, 2 metry. Taka głębokość sprawia, że nasz okręt „Hilary”, normalny statek oceaniczny, może spokojnie płynąć do Manaos, a gdyby chciał, to jeszcze wyżej. Tylko jeden jedyny raz osiadł na mieliźnie, ale to dlatego, że pilotowi brazylijczykowi zbyt posłużyło ciężkie angielskie piwo. Do Manaos może podobno zawitać trzy czwarte wszystkich okrętów wojennych.

Kto przypuszcza, że, jadąc po Amazonce, ujrzy odpowiednio szeroką rzekę, dozna zawodu. Jesteśmy już trzeci tydzień na Amazonce, a, po opuszczeniu właściwego ujścia, płyniemy stale rzeką nie szerszą niż dwie do trzech Wisły pod Toruniem. To, co stale widzimy, nie jest, oczywiście, całą Amazonką, lecz tylko jedną z jej odnóg. Tym bowiem różni się Amazonka od innych wielkich rzek, że rozlewa się w szereg koryt i kanałów, tworzących między sobą gmatwaninę niezliczonych wysp, nieraz bardzo wielkich.

Innym charakterystycznym objawem jest to, że, wskutek niezuważnego spadku rzeki, odczuwa się bardzo daleko przytyły i odpływ morza. W Santarem, mieście leżącym blisko tysiąc kilometrów od ujścia, mały Czikinio nieledwie wpadł do wody ze zdziwienia, że rzeka w pewnym momencie zaczęła płynąć w przeciwnym kierunku, pod górę, w stronę And.

Już zaraz na wstępie, przy samym ujściu, pokazała nam Amazonka, jakie bogactwo kryje w swych głębinach. Na widok licznych stad olbrzymich, 2-metrowych ryb, wynurzających się co chwila z wody, zdawało nam się, że płyniemy przez jakiś zaczarowany ogród zoologiczny. Były to piraruku, charakterystyczne dla Amazonki, największe na świecie ryby słodkowodne. I od tego czasu wynurzają się co chwila z jej głębin jakieś dziwaczne potwory, wywołujące zachwyt małego Czikinia i mój, jakieś delfiny, jakieś ryby tłuste o różowym cielsku i o paszczach strasznych, i to wszystko przewala się z hukiem, złowrogie i zuchwałe, tuż pod ścianą okrętu.

Płyniemy już trzeci tydzień dniem i nocą. Ciągłe ta sama rzeka, wyglądająca dziś tak samo jak w pierwszym dniu podróży. Nic się w niej nie zmienia i nie widać żadnego końca. Ogrom jej zaczyna wdziierać się w nasze nerwy, mózg i krew i mimowoli przeobrażać się w mgliste pojęcie czegoś mistycznego.

Nad brzegami Amazonki żyją w biednych lepiankach i szałasach skromni, mali ludzie. Między nimi, gdzieś nad granicą peruwiańską, żyje ojciec małego Czikinio. Gdy Czikinio twierdził, że Amazonka jest prawie tak wielka jak Bóg, to kto wie, czy w tym naiwnym powiedzeniu dziecka nie tkwiła jakaś głębsza prawda. Wszakże Amazonka, jak Bóg, jest ogromna, nieskończona i przepiękna, daje tym ludziom pożywienie i zabiera życie — wszystko tak samo jak Bóg...

PUSZCZA NAD AMAZONKĄ

Całe dorzecze Amazonki — kraj prawie tak wielki jak Europa — jest pokryte jedną, nieprzerwaną, wspaniałą, okrutną puszcza. Jakkolwiek brzmi to nieprawdopodobnie w naszych czasach radia i lotnictwa, cały ten olbrzymi kraj do dziś oparł się, z małymi wyjątkami, postępowi cywilizacji i dziś jest jeszcze prawie tak samo tajemniczy, dziki i niezbadany, jak był 70 lat temu za czasów przyrodnika Bates'a, 130 lat temu za czasów Humboldta, a mejskami nawet jest jak za czasów Orellany przed 400 laty. Na tym całym obszarze nie ma, dosłownie, ani jednego kilometra żelaznej kolei, a łączność z cywilizacją utrzymuje tylko dwadzieścia kilka parowców na Amazonce i niektórych jej dopływach.

(Jest wyjątek Zbudowano w mieście Iquitos lilipucią okrężną kolejkę na kilkaset metrów. W upalne niedziele puszczają ją w ruch i obywatele iquitosecy mają rozrywkę i świeży prąd powietrza).

Od samego Atlantyku towarzyszy nam bezustannie las. Ściana zieleności tak fantastyczna, że zdaje się być jakąś niezmierną sceną oszalalego teatru. Palmy, liany, bambusy epifyty, drzewa proste i koszlawe, drzewa poziomo rosnące, krzewy większe niż drzewa, różnorodność form i barw, białe jak śnieg liście i czerwone jak krew, co sto metrów widowisko zupełnie odmiennie nowe drzewa, nowa roślinność — i tak od trzech tygodni przewija się przed nami dzień i nocą, nieznużenie i bez przerwy, puszcza amazońska, najwyższa i najbujniejsza forma puszczy na ziemi.

Puszcza amazońska! Ktoś powiedział, że człowiek idący w puszcze, ma tylko dwa piękne dni. To pierwszy dzień, gdy, olśniony jej czarującym przepychem i potęgą, sądzi, że wkracza do raju — i ostatni dzień, gdy, bliski obłędu, ucieka z tego „zielonego piekła“ do cywilizacji.

Okrutne, wilgotne gorące, panujące bez przerwy przez cały rok; powódzie, zalewające olbrzymie połacie puszczy przez dziewięć miesięcy w roku; tysiące nieznanych, straszliwych chorób, czujących wśród moczarów; mrówki i termyty, pożerające wszystko, co na drodze, chmury moskitów i komarów, wszczipających jad do krwi; jadowite węże, zabójcze pająki, śmiertelne drzewa — wszystko to sprawia, że puszcza nad Amazonką jest przekłętym krajem dla człowieka, a zwłaszcza dla białego, który chce niej osiąść na stałe.

Natomiast rajem wymierzonym, wysnionym eldoradem jest dla przyrodnika, który zagłębiając się w to piekło, odkrywa najwspanialsze cuda przyrody: kwiaty o dziwacznych barwach, tajemnicze orchideje o najbardziej zmysłowym zapachu, motyle, barwniejsze niż jakiekolwiek kwiaty, kolibry mniejsze i barwniejsze niż motyle, inne ptaki o groteskowych kształtach, ssaki, które przeżyły się w dawniejszych epokach, mrowiska o porządku socjalnym tak idealnym, o jakim my, ludzie, nigdy marzyć nie możemy; słowem: otoczy przyrodnika opętana, rozpasana, obłędna wybujałość wszystkich objawów życia w przyrodzie. Problemy biologiczne, które gdzieindziej trzeba z trudem wyluskiwać z ukrytych form, tu, nad Amazonką, leżą jak na dłoni: zbiera je tylko, jak dojrzałe owoce.

Dziś pozostało już mało do odkrycia na świecie, natomiast w puszczy amazońskiej jest jeszcze do odkrycia cały, wielki świat!

Z pokładu naszego statku patrzymy na to wszystko, jak widzowie w teatrze, z daleka, chociaż przeważnie płyniemy tuż przy brzegu i pod wieczór pada na nas cień lasu. Wtedy dochodzą nas z puszczy liczne głosy plectwa, świadczące o niepomiernej bogactwie świata skrzydlatego. Czaple, bociany, ibisy, czajki i olbrzymie zimorodki harcują nad wodą, a hen, wysoko w powietrzu lecą królowe papug, wielkie i barwne arasy.

Inni liczni mieszkańcy puszczy przylatują do nas na pokład. To owady. Za dnia przesuwa się piękne motyle popilionidy, ale trudno je schwycić, bo płochę. Wieczorem do światła nadlatują podobne do jaskółki: zawisaki; czasem przybłąka się olbrzymi kaligo o oczach sowy na skrzydłach lub jaka dziwna modliczka. Wszystko to wędruje do zbiorów.

Dzielnie pomaga mi łowić mały Czikinio, mój wielki przyjaciel i towarzysz podróży. Czikinio ma sześć lat i jedzie z

Portugalii do swego ojca nad granicę peruwiańską. Dziełny Czikinio zna wszystko i wie o wszystkim. Niestety, ma jedną wielkie utrapienie: nie może wybadać, gdzie mrówki na okręcie mają swe mrowisko. Miliony ich są na okręcie. Zjadają nam nasze zbiory i trudno się opędzić tej pladze, bo są małe, zuchwałe i wdzierają się wszędzie. Cały okręt jest nimi przesiąknięty. Wystarczy położyć na stole zabitego motyla, a w przeciągu kilku minut psim węchem zjawi się od ściany lub pod podłogi pielgrzymka mrówek. Całe szczęście, że nie napadają na nas, ludzi: inaczej pobyt na statku byłby niemożliwy.

Pociesz się, strapiiony przyjacielu Czikinio, że nie możesz odkryć siedliska mrówek. W puszczy, przez którą przepływa rzeka, jest jeszcze tysiące innych zagadek i tajemnic, które trzeba wiązać i odsłonić daremnie wysyłało się już wielu innych ludzi wytrwalszych i silniejszych niż ty, dzielny, mały Czikinio!

PULKOWNIK FAWCETT — ŻYJE CZY NIE ŻYJE?

W Manaus, w hotelu Brasil, nie mogłem się dogadać przy pomocy kelnerem. Wtedy gospodarz poprosił jednego z gości siedzących przy sąsiednim stole, by mi pomógł. Uprzejmy gość przyszedł i pomógł. Przedstawiliśmy się wzajemnie, ustaliśmy język francuski jako konwersacyjny i spożyliśmy wspólnie lunch. Był to angiłk, nazywał się Albert de Winton, miał około 45 i nosił energiczną brodę. Rozmawialiśmy o tym i o tym, a gdy Winton dowiedział się, że jadę w misji naukowej do Peru, wyłuszczył swój cel pobytu w Brazylii: odnalezienie pułkownika Fawcetta.

— Jaki? — zapytałem zdziwony. — To sprawa jego życia i śmierci jeszcze pokutuje?

— Dla nas, angiłków, — oświadczył skromnie, lecz z pewnością, — sprawa będzie zawsze aktualna, dopóki jej nie wiemy jaśniej zupełnie. Mam nadzieję, że za kilka miesięcy świat dowie się nareszcie całej prawdy.

W trakcie dalszej rozmowy dowiedziałem się, dzięki uprzejmości Wintona, że źródła najbardziej miarodajnego bliźszego szczegółów tej tajemniczej, a tak głośniejszej sprawy.

Fawcett, angiłski pułkownik w stanie spoczynku, należał do swego czasu do komisji, wytyczającej granicę między Boliwią a Brazylią. Wtedy poznał doskonale puszcze amerykańską nie tylko to: od indian, przybyłych z brazylijskiego stanu Matto Grosso, dowiedział się o istnieniu w głębi puszczy licznych ruin jakiegoś legendarnego miasta.

Dokładniejsze badania i studia naprowadziły Fawcetta na myśl, że owe ruiny mogą być pozostałością legendarnej Atlantydy, której należy szukać — według przypuszczeń niektórych uczonych — właśnie w stanie Matto Grosso, między rzeką Xingu a Araguaya. Przejęty tą myślą, Fawcett, romantyk i przyrodnik, postanowił sprawę zbadać i, po starannym przygotowaniu się w Anglii, wyruszył w roku 1926 do Matto Grosso.

Wyprawę rozpoczął od miasta Cuayaby, stolicy stanu Matto Grosso, idąc w kierunku północno-wschodnim ku źródłom rzeki Xingu. Towarzyszyło mu tylko dwóch białych: jego 21-letni syn i tegoż przyjaciel, Jack Rimmel — oraz 3 psy.

Jeżeli Matto Grosso, leżące w większej części w dorzeczu Amazonki, jest stanem stosunkowo mało zbadanym, to okolice nad źródłami rzeki Xingu należą do zupełnie nieznanych. Mimo względnej bliskości stolicy Cuayaby, oddalonej mniej więcej o 400 kilometrów, źródła są oznaczone na mapach błędnie.

W 12 dni po wyruszeniu z Cuayaby wyprawa dotarła do ostatniej placówki cywilizacji, pewnej fazendy, oddalonej o 150 kilometrów od stolicy, i tu Fawcett, chory na lekką chorobę, rączkę, odpoczął przez kilka dni. Potem wyprawa wyruszyła w głąb puszczy na północ i od tego czasu zaginęła. Po tygodniu wrócili do fazendy jeden z psów Fawcetta, pokrwawiony i z objawami obłędu. Po kilku dniach zdechl. To był ostatni znak wyprawy. Fazender postąpił do lasu ludzi na wywiad, lecz ci wrócili bez wyniku. Puszcza pochłonięła Fawcetta i jego towarzyszy.

Po kilku miesiącach doszła wieść o zaginięciu Fawcetta do Anglii. Ponieważ krząła pogłoska, że Fawcett żyje, więziony przez dzikich indian, przyjaciele jego zebrali większe fundusze i zorganizowali wyprawę ratunkową. Gdy pierwsza nie odniosła skutku, wysłano drugą i trzecią wyprawę: dwie angiłskie i jedną amerykańską. Wszystkie daremnie.

Winton, który działalność tych wypraw badał na miejscu, twierdzi, że był to wielki skandal. Wyposażone w znaczne pieniądze, składały się przeważnie z niekompetentnych ludzi, którym wystawiano sobie żyły, wysyłali codziennie biuletyny o sobie do prasy (stał wszechświatowy rozgłos sprawy Fawcetta), jedli w wygodnych łodziach po Xingu i — w ogóle nie szukali Fawcetta tam, gdzie prawdopodobnie zginął.

o tropie harcerskim

„Zawisza Czarny” w Rydze

JESTEŚMY JEDNEJ KRWI — oto hasło, które aby zrozumieć należało stanąć na pokładzie szkolnego „Zawisza Czarny”, który niedawno swym pięknym wyglądem, barwny ozdoba i specjalnie Polaków tutaj zamieszkałych, których wizyta młodych, dzielnych i wesołych — wilków morskich — była nieładą ewentualnym. Dzielny generał z sumiastym wąsem i uśmiechem wiódł swoich dzielnych harcerzy na wody Bałtyku, by wszędzie, gdziekolwiek serca polskie, zanieść braterskie pozdrowienie i budzić ufność, że miłość do morza jest jednym z naczelnych zagadnień współczesnej Polski i jej młodzieży — młodego pokolenia. Toteż wizyta „Zawisza Czarnego” po za daniem możliwości młodym — poznania go, pokochania i — wcielenia go w krąg swych najbliższych skarbów, miała wielkie znaczenie propagandowe. Artykuły z gazety inaczej przemawiają do czytelnika, inaczej znowu patrzy się na realne rezultaty, widoczne efekty i wyrażone woli Wielkiego Narodu, postępującego w myśl wskazań swych nieśmiertelnych Wodzów. Wizyta „Zawisza Czarnego” w okresie, gdy w Polsce czyniono przygotowania do „Tygodnia Morza”, była propagandą znaczenia tego morza, przyciągnięciem coraz mocniejszych więzów między nami a Macierzą. Jakkądyby potwierdzeniem prawdy była sylwetka jakiegoś staruszka do dzisiaj mnie nieznanego, a jakże jednak bliskiego, którego oczy, wpatrzone w dostojną postać Generała Żurawskiego, przystaniały lży, będące wymownym symbolem tej wielkiej prawdy, że jesteśmy jednej krwi. By jednak — poza pokazaniem statutu — utrwalić się mocniej w pamięci zwiędających, nie należy zgrany zespół żałogi z nieźródnanym swym — organizatorem przesuwać przed nami jedynie zainscenizowane a bajeczne wesołe groki deklamacje i pieśni. (Witjan)



Chociaż na nos kapie — harcerz jest zawsze pogodny. Wesoła trójka na obozie 97-ki

Rozgwar nad Jaszą

Jak przed laty, płyną, szumią i rozpryskują się o glazy i kamienie wody Jaszki, jak dawniej, na jej stromych brzegach rosnące drzewa stoją zapatrzony w błękity. I jak przed rokiem, ponad wartkie wody i wysmukłe drzewa wlatują dziecięce głosy i rozgwarem napełniają wąwóz. To zuchy używają słońca, powietrza i wody, to ich radosne zachwyty zagłuszają szum wody i świergoty ptaków. I nie tylko nad Jaszą pełno rozgwaru. Przenika on i pod dach Grociszewskiego domu, przemyka się między drzewami sadu, obija się o gałęzie przybrane w jabłka i przenosi się pod stare jodły do lasu, aż ucicha nad wodami jeziora. I tylko, gdy noc ciemnym aksamitnym płaszczem przykrywa złocące się w dzień zboża, a jodły szumią kołysankę — cisza i sen otula małe, hałaśliwe postacie. A nad rankiem, gdy kwakanie, ciągnące nad staw kaczek przeniknie przez zamknięte okiennice i odegna sen — znowu życie wstępuje w ściany domostwa. Jak przed chwilą białe kaczę-

ta, tak teraz małe zuchy dążą ku wodzie, by się poddać jej słodkiej i orzeźwiającej pieśczoście.

Już woda zaróżowiła buziaki, już szcztoczek i prosek do zębów spełniły swą służbę, za chwilę dziecięce głosy złączą się w ślicznej porannej modlitwie. A znowu za chwilę zadzwonią kubki i łyżki i głosy od stołu pobiegną: „Druhno, jeszcze można?” Śniadanie szybko mija, za minutę, jak to stoi w obozowej piosence:

„coś z trzydziestu zuchów zżawo do stołu zasiada i wszelkie smaczne potrawy za minutę zjada”.

Do obiadu szmat jeszcze czasu, więc zuchy idą do boru na gry, na śpiewy, na grzyby, na jagody. Każdy chce iść z druhną, więc, by uprzedzić, woła zawszasu: „Moja prawa rączka! A moja lewa!”, usiłując przekrzyknąć innych.

Obiad. Znowu dzwonią łyżki i miseczki, znowu kolejka przy kotłach. To było dobre. Najgorsze przychodzi dopiero teraz — cisza poobiednia, spanie. Lecz i tutaj nieraz wyręcza słońce. Ogrzewani i opaleni jego ciepłem leżą zuchy na koczach w starym owocowym sadzie. Minęły „przykre” chwile ciszy, już znowu gwarem mieni się stary sad — zuchy na „własną rękę” prowadzą zabawy. Ulubiony „szpital” z wyniesionymi kocami, fikanie koziołków, lalki i inne, niezliczone dziecięce pomysły.

Barwne były dni, każdy zda się taki sam, a każdy inny zarazem. Sprzykrzały się gry, przychodziła kolej na wycinanki z papieru, na szycie nowych strojów dla lalek, nawet na kopanie ziemniaków, nie mówiąc już o zmywaniu naczyń, do czego wielce chętne były małe kobietki.

Tak płynęły dni. W wesoły ich korowód wplątały się i większe wydarzenia — chrzciny lalki z przoznymi „gośćmi”, odwiedziny starszego przyjaciela sprzed roku, nocny alarm i pierwsze w życiu ogniska. Ogniska z piosenkami, tańcami, pokazami, z widzami — jak się natrzy. Dobiegł lipiec końca, pierwsze dni sierpnia zwiastują powrót do miejskich murów.

Jak przed miesiącem, lecz w odwrotnym kierunku — na Wiganti ciągną teraz drabiniaste wozy z zuchowym statkiem i pomniejszych brzdącami. Starsi z dumnie wypartymi brzuszkami i piosenką na ustach dzielnie kroczą przy wozach z odprowadzającym ich „Murzą”.

Nie prędko zatrą się w dziecinnej pamięci dni obozowego życia, kierowane umiejętną ręką ulubienicy zuchów — druhnę Zofii Makowskiej, na długo zostanie szum Jaszki, szmer lasu i gościnny dom p. Aleksandrowiczów. (El.)

ŚWIATOWY ZŁOT HARCERSKI W AMSTERDAMIE. Amsterdanie. Ub. soboty po południu odbyło się w obecności królowej Wilhelminy uroczyste otwarcie światowego zlotu harcerskiego (jamboree) z udziałem 28 tys. harcerzy z 30 krajów.

Po uroczystym otwarciu jamboree przez królowę, odbyła się defilada.



Jak to na obozie ładnie... Zuchy przy pracy



Zuchy 97-ki na obozie. W środku kierowniczka drh. Czepajtisówna

Chroniką życia bieżącego

Na froncie sportowym

REDUTA REMISUJE. W ubiegłą niedzielę Reduta spotkała się z żydowską piłkarską drużyną „Makkabi”. Przeciwnik był groźny. Można było oczekiwać przegranej. Ale przebieg gry pokazał, że czasami Reduta może z powodzeniem stawiać czoło silniejszemu od siebie zespołowi. Po zaciętej i wyrównanej grze wynik głosił 1:1. Pierwszą bramkę zdobyli żydowscy piłkarze. Dużo momentów pod bramką „Makkabi” rezerwaci nie potrafili wykorzystać. Brak jeszcze precyzji w strzałach do bramki. Byt dużo kombinują, nie umieją racjonalnie wlać piłkę. Wszystkie te braki da się usunąć usilnym treningiem.

REDUTA — START (I LIGA). W niedzielę b. m. na boisku Uwaras Parks spotykają się zespoły I ligi: „Reduty” ze „Startem”. Początek gry o godz. 11 rano. Tam też o godz. 6 wiecz. rozegrają swój kolejny mecz juniorzy Reduty. (wm).

GRONO „POSOWCÓW” ZWIĘKSZA SIĘ W W tym tygodniu niemal z każdą niedzielą. Dwunastu przybyło do grona 1. sierpnia na terenie filii Jasmujskiej. Lecz nie tylko w tym tygodniu, jesień bowiem przyniesie z pewnością nie jeden dziesiątek dziesiątek, lecz i znacznie krępkiej młodzieży.

OSTATNIO GRUPA CZŁONKÓW FILII JASMUJSKIEJ odbyła wycieczkę do Krasławia. Pociąg przeczcił wycieczkowiczów do celu, z powrotem niosły własne nogi. Ruch — to życie.

Inny ruch panuje w innych filiach ZPM. Trwają tam przygotowania do święta Sportu Polskiego, które jest już nie za górami, bo 21. i 22. sierpnia.

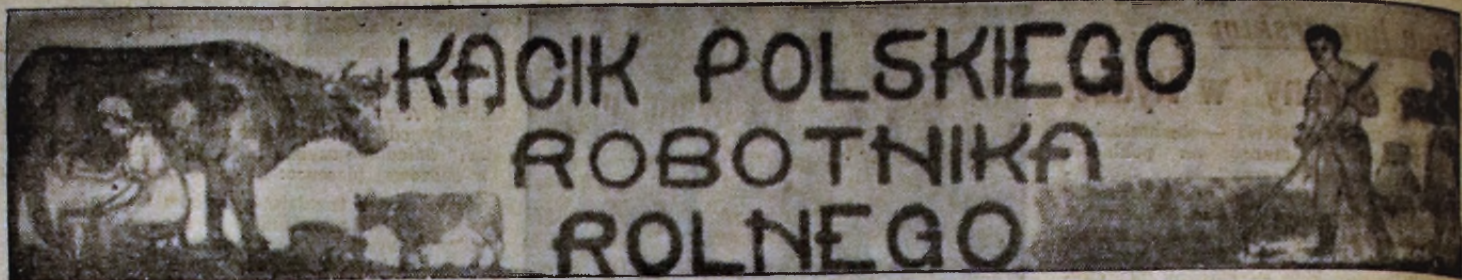
Odpowiedzi grafologa

„**CIEKAWSKI**” ma charakter o różnobarwnej treści. Gdyby zajrzeć w jego duszę, można by tam znaleźć takie tajemnice, o których świat napróżno chce wiedzieć, a nie może — z powodu dyskrekcji. Lubi mówić, ale zamieczy, o czym najciekawiej byłoby się dowiedzieć. Dość zapalczywy z natury, potrafi nad sobą panować i innym czas uprzyjemnić. Pismo ma naogół sympatyczne, ujawniające w sobie męską siłę i hart ducha. Gdy kogo pokocha, to całą duszą. Zmieniać przedmiotu swych uczuć nie lubi. Że jest wybrańcem losu, nie powiem. Nie po różach te ściele się życie. Napotyka ostre zawody, boryka się z losem i nie zawsze potrafi go

Czy w domu Twoim czytają

„Nasze Życie”?

wziąć za bary. Lubi działalność społeczną, nawet radę ją rozszerzyć. Jaskółczy niepokój duszy przeszkadza w szlachetnych zamiarach i wzlotach w nadzwyczajną toń. Życie ma ciężkie. Czasem bardzo żałuje wyrzeczenia się głosu powołania. Jeżeli się interesuje daną cechą, musi stworzyć swą duszę przed grafologiem. Ten charakter ma swoje tajemnice. Pragnie się kierować głosem serca. Nie radzę. Dozna gorczy. Ma naturę wrażliwą i nerwową. Przpracowanie szkodzi takiej naturze. Musi pamiętać o tym, że pracować ponad siły szkodzi, łamie duchowo.



KACIK POLSKIEGO ROBOTNIKA ROLNEGO

Uwadze robotników — katolików

Powiadamy, że katolickie nabożeństwa na terytorium Widzeme odbędą się w następujące dni, w niżej podanych miejscowościach:

- | | |
|-------------------------------------|------------------------|
| 8. sierpnia o godz. 9 — Dikļos | o godz. 12 — Limbažos |
| 15. sierpnia o godz. 9 — Valmierā | o godz. 12 — Smiltēnē |
| 22. sierpnia o godz. 9 — Cesvainē | o godz. 12 — Laudonā |
| 29. sierpnia o godz. 9 — Rencēnos | o godz. 12 — Rūjienā |
| 5. września o godz. 9 — Nītaurē | o godz. 12 — Mālpilī |
| 12. września o godz. 9 — Dzērbenē | o godz. 12 — Piebalgā |
| 19. września o godz. 9 — Alojā | o godz. 12 — Mazsalacā |
| 26. września o godz. 9 — Stāmerienā | o godz. 12 — Alūksnē |

Robotnikom — Katolikom należy w jaknajliczniej stawić się i wysłuchać Mszy św. poczuciu swego obowiązku religijnego

Wieści z Polski

Prace nad podniesieniem kultury wsi. Podniesienie kultury wsi polskiej na wyższy poziom — oto zadanie, które czeka Polskę w najbliższej przyszłości. Dużo już zostało w tym kierunku zrobione i ten kto pamięta wieś polską sprzed lat, choćby nawet kilkunastu, zobaczywszy ją teraz dostrzegłby ogromny postęp naprzód. Pracy jednak do zrobienia jest jeszcze bardzo dużo.

Celem scentralizowania prac nad podniesieniem kultury na wsi powołany został w Polsce Państwowy Instytut Kultury Wsi. Zadaniem jego jest posuwanie naprzód wiedzy o wsi, badanie jej życia zbiorowego, badania nad rodziną chłopską, ośrodkami jej życia społeczno-kulturalnego, jak kółka rolnicze, domy ludowe, koła gospodyń i t. d.

Prace nad podniesieniem kultury rolnej na Polesiu. W ciężkich warunkach żyje ludność na Polesiu. Bagniste okolice, kwaśne laki, lasy, mało urodzajne gleby nie sprzyjają rozwojowi kultury rolnej, tym bardziej że znana jest nieufność Poleszaków do wszelkich „nowinek”. Toteż praca społeczna tam napotyka na specjalne trudności i powoli postępuje naprzód. Postęp ten choć powolny, jednak stale się daje obserwować. Szereg instruktorów przeszkolonych w takich dziedzinach jak hodowla, łaskarstwo, sadownictwo i innych, objeżdża wieś poleską. Całe Polesie podzielono na ośrodki gospodarze, obejmujące dwie — trzy gminy. W ośrodkach tych są na ogół wsie, gdzie jest już przeprowadzona komasacja, parcelacja itp. Każdy instruktor ma przydzielonych parę ośrodków, za które odpowiada. Urządza on tam gospodarstwa, uporządkowuje gospodarkę polową przez wprowadzenie plodozmianów, udziela porad i kieruje całością prac kilku, lub kilkunastu gospodarzy. Ośrodek taki staje się ogniskiem, z którego rozchodzi się kultura rolna i do którego gospodarze z sąsiedztwa zwracają się o porady i wskazówki. Od jesieni 1936 r. w 40 takich ośrodkach z 500 wsiami przystąpiło do pracy 2600 gospodarstw.

W ten sposób może powoli, ale za to niezawodnie podnosi się na Polesiu kulturę rolną.



Polscy robotnicy rolni w Łotwie

Nasze porady i odpowiedzi

Tomasz Pieciukiewicz — Trapene. Znaczki pocztowe w sumie Ls 1.60 otrzymaliśmy i wysyłamy Panu gazetę. Słownik polsko-łotewski kosztuje 1 lat (prysłać można w znaczkach pocztowych). Celem zameldowania książeczkę wojskową należy koniecznie wysłać do Konsulatu R. P. załączając w liście 80 sant.

Zygmunt Sałak — Sarkanmuiza. Pierwszym niezbędnym warunkiem uzyskania obywatelstwa łotewskiego jest fakt przebywania 5 lat bez przerwy na terytorium Łotwy (parotygodniowe wyjazdy nie mają znaczenia). Podanie składa się przez Naczelnika Powiatu do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Tam też informuj się, czy są widoki na uzyskanie obywatelstwa. O ile sprawa będzie na dobrej drodze, wtedy można zwrócić się do Konsulatu R. P., który załatwi wszelkie formalności, związane z zrzeczeniem się obywatelstwa polskiego.

J. Cycen — Katwari. Wspomniane rzeczy może Pan przewieźć, lecz za opła-

tą cła, które jest wysokie. Jeśli nabyte płótno, najlepiej będzie z niego sporządzić.

Zbrodyho A. — Estonia. Tapa. Przejście otrzymaliśmy i adres zmieniliśmy, formacje Pana odpowiednio wykorzystamy. Oczywiście, chętnie przyjmujemy respondencje Pana, ale, jak wiadomo, dakeja może je zmienić lub odrzucić. We czwartek pisma wysyłać nie możemy, gdyż drukujemy dopiero w piątek w tym też dniu wysyłamy.

Mickiewicz Feliks — Purezers. Niektóre utwory poświęcone imiennie osobie mogą być ogłoszone drukiem za zgodą tejże osoby. Można też wymieniając imię bez nazwiska swej strony zaznaczamy, że Redakcja mieszczą tylko takie utwory, które dają pewną wartość literacką bądź artystyczną.

Grzybowicz Stefan — Klawineni. Wysłane wiersze drukujemy, o ile są ciekawe w treści i formie. Prenumeratę w sumie Ls 1.40 otrzymaliśmy.

Kwacz Walerian — Roñkaļns. Wysłane Panu za zwrócenie uwagi o myślności informacji. Obecnie, po wspomnieniu, podajemy ponownie właściwe nazwy kaz nabożeństw katolickich.

Uwadze robotniko

Robotnik polski, **Kazimierz Danusiewicz**, podaje do wiadomości, że skradł mu nowy rower firmy „Omega — S. cz. dart”, umalowany na czarno z numerem 2441.

K. Danuszewicz zwraca się za pośrednictwem naszego pisma do kolegów robotników oraz wszystkich czytelników, by wzięli powyższe pod uwagę i, jeśli natrafią na ten rower, dali znać o nim licji oraz właścicielowi (pasterz Dzirnawas maja).

Za odnalezienie skradzionego roweru lub wskazanie osoby, która popełniła dzieł K. Danuszewicz przewidziane nagrody Ls. 20.—.

Uwaga!

Marię Rude ze wsi Przewalski poczta Podswile (Polesie)

poszukuje
GIACZ EUGENIUSZ

Informacje prosimy kierować do Redakcji

SPRAWY GOSPODARCZE



erzy Bryc

Reforma rolna zakończona

Siedemnaście lat minęło od chwili rozpoczęcia w państwie naszym reformy rolnej.

Obecnie Centralny Komitet Urzędów Rolnych (Centralas zemes iericibas komisija) oraz Główna Komisja Oszacowania (Zemes werteszanas wirskomisija), widując się, przekazały pozostałość spraw, związanych z reformą rolną, utworzonemu na miejsce wyżej wymienionych urzędów, Komitetowi Urzędów Rolnych (Zemes iericibas komiteja). Znajdą się tam sprawy przeważnie natury technicznej, obejmujące wiec końca reforma olbrzymia, przedstawiająca w swych skutkach oblicze kraju i jego strukturę gospodarczą.

Oto obraz liczbowej reformy, zaczerpnięty ze źródeł urzędowych. Za wyłączeniem lasów, wód, błot oraz ziem, pozostałych własnością państwa, do funduszu ziemskiego weszła przestrzeń obszarem nad 1.700.000 ha, która uległa rozparcelowaniu na wsi w sposób następujący:

Działek gospodarstw utworzonych	54.116
Działek do wydzierżawienia	9.778
Gospodarstw ogrodowych	1.569
Gospodarstw rzemieślniczych	10.855
Gospodarstw rybackich	2.988
Działek przydziału ziemi dodatkowej małorolnym było	50.552
Działek przydziału ziemi na potrzeby społeczne i kulturalne	6.548
Działek na potrzeby państwowe	2.954
Działek na potrzeby przemysłowe	2.403
Działek na różne inne cele	11.295
Działek przydziału ziemi niewywłaszczalnych części majątków (resztówek, pierwotnie z regułu zaliczonych do funduszu ziemskiego)	1.306
Działek przydziału ziemi niewywłaszczalnych przedsięwzięciach przemysłowych	492
Działek przydziału ziemi na cele likwidacji serwitutów	7.065
Razem	161.879

Ogółem jednostki gospodarze otrzymały 1.683.390 ha.

Prócz tego po miastach i miasteczkach utworzono 57.178 jednostek, udzielając na ten cel 27.500 ha. W ten sposób ogółem do funduszu ziemskiego przydzielono 1.710.890 ha na potrzeby 199.057 jednostek gospodarczych. Do podziału pozostaje jeszcze około 15.000 ha.

Jeżeli z podanej ogólnej liczby jednostek gospodarczych wyłączymy odcinki ziemi powstałe w związku z likwidacją serwitutów, wyłączymy resztówki oraz niewywłaszczane przedsiębiorstwa przemysłowe, jako że nie wymagały przydziału ziemi, to otrzymamy liczbę 190.194 gospodarzy, utworzonych z funduszu ziemskiego.

W toku reformy agrarnej przeprowadzono komasację ziemi wiejskiej, rozsiedlając dotąd 4546 wsi i tworząc 70.325 gospodarstw samodzielnych na obszarze 1.006.657 ha. Tego rodzaju praca potrwa jeszcze na obszarze około 100.000 ha

ziemi włościańskiej i innej, znajdującej się w posiadaniu prywatnym.

Z ziemi podlegającej przydzieleniu sformowano już ostatecznie 188.000 jednostek gospodarczych, czyli że pozostaje jeszcze do utworzenia 2194 jednostek. 181.762 jednostki zostały oszacowane definitywnie, co dało sumę Ls. 61.534.012. Oszacowanie to było przeprowadzone na zasadzie pewnych punktów wyjścia i nie odzwierciedla istotnej wartości omawianych obiektów, która jest znacznie wyższa.

Reforma agrarna powołała do życia kilkadziesiąt tysięcy nowych gospodarstw, rozsiedliła wieś, przekształciła szereg gospodarstw starych, a to wszystko spowodowało konieczność postawienia masy nowych budynków względnie przeniesienia lub przerobienia uprzednio istniejących. Toteż Departament Leśny Ministerstwa Rolnictwa dostarczył w czasie reformy na cele budownictwa na wsi 22.000.000 metrów sześciennych drzewa budulcowego

Inż. Br. Staniszewski

Najważniejsze błędy nawożenia

Wszelkie nawozy, jakie rolnik stosuje w gospodarstwie, mają na celu zasilanie uprawnych roślin w możliwie najkrótszym czasie w składniki pokarmowe, a tym samym zwiększenie ich plonu. Jednak przy użyciu wszelkich nawozów, a więc organicznych jak obornik, gnojówka, zielone nawozy i t. p., czy sztucznych, zbyt często zapomina się o najkardynalniejszych zasadach życia i stosowania tych nawozów, wskutek czego nie dają tego efektu, jakiego od nich spodziewaliśmy się, zniechęcając nieraz zupełnie niesłusznie rolnika do ich stosowania. Uważając, że przypomnienie takie będzie na czasie, zwrócę uwagę na błędy najczęściej popełniane przy użyciu nawozów. Błędy te ująć można w dwie wielkie grupy, a to:

1) Nienależyte przygotowanie gleby pod nawozy.

2) Niewłaściwe obchodzenie się z nawozami przed ich użyciem, jak też i nieprawidłowe użycie ich samych.

Przed wszystkim stosując nawozy zbyt często zapomina się o tym, że wszelkie nawozy, z małymi tylko wyjątkami, jak np. saletra, nim przejdą w stan przyswajalny dla roślin — muszą przejść w ziemi rozmaite przemiany i przeobrażenia, i jeśli nie mają odpowiedniego środowiska, to mogą albo wcale nie działać, albo z tak znacznym opóźnieniem, że korzyści nam wcale nie dadzą. Te przemiany w nawozach powodują — jak wiadomo — przeważnie drobnoustroje, a te znów do swego życia, rozmnażania się, pracy, potrzebują umiarkowanej wilgoci, powietrza, temperatury, przeważnie nie mogą

na ogólną sumę Ls. 122.100.000, taksując wedle norm ustalonych. Z tej sumy Ls. 84.100.000 pokryła kasa państwowa, resztę zapłacili odbiorcy materiałów leśnych. Gdyby owe 22 mil. metrów sześciennych wyborowego budulca oszacować w pełni, powstałaby suma o wiele znaczniejsza.

Wszystkie liczby podane są duże, mówiące o niezwykłych rozmiarach dokonanego dzieła.

Reforma agrarna przeszła pod hasłem „każdemu swoją zagrodę, swój kąs”. Zwątpienia, które towarzyszyły pierwotnie reformie, jak np. obawa osłabienia kraju ekonomicznie, brak pewności, że nowe gospodarstwa okażą się żywotne, co najmniej samowystarczalne i t. p., zwańpienia te naogół pierzchły. Produkcyjność wsi w jej nowym układzie okazała się dostateczną. Tak oto mniej więcej ocenił wyniki reformy minister Rolnictwa J. Birznieks.

się rozwijać w kwaśnym środowisku i bez pewnej ilości próchnicy i t. p. Stąd widzimy, że odpowiednie środowisko dla nawozów jest faktycznie środowiskiem również dobrym dla potrzebnych nam bakterii. A więc:

a) Błędem będzie stosowanie nawozów na glebach, na których nie uregulowaliśmy przedtem wilgoci, a więc na glebach nie osuszonych czy to drenami, czy rowami, jak też na glebach zachwaszczonych, zardarnionych, czy też zbyt płytko oranych.

b) Błędem będzie również, gdy przed użyciem nawozów nie zastosujemy odpowiedniej mechanicznej uprawy, która racjonalnie wykonana na glebie normalnej, oprócz wyniszczenia chwastów, ureguje wilgoć i powietrze, pozwoli pracować normalnie drobnoustrojom, spowoduje szybszy rozkład cząstek tak organicznych jak mineralnych, a częstokroć przez umiejętne wydobywanie z głębi warstw zasobnych w pokarmy i ich uruchomienie zaoszczędzi nam niektórych nawozów, jak np. ma to miejsce z glinami, zazwyczaj bogatymi w związki potasowe.

c) Błędem będzie, gdy stosując nawozy nie weźmiemy pod uwagę przepuszczalności gleby i podglebia oraz zawartości w nich składników pokarmowych, które również mogą uczynić zbyt szkodliwym nawożenie jakimś nawozem. Tak np. ziemie próchniczne i torfy zawierają dużo azotu i zwykle nie oplaca się ich nawozić tym składnikiem pokarmowym, a gliny — jak to mówiliśmy — często mają bardzo dużo potasu tak że dodatek jego może być zbyt szkodliwy. (DN)

Sierpień

łotewski — *Augusts*, białoruski — *Žniwień*,
 czeski — *Srpen*, litewski — *Rugpintis*,
 niemiecki — *August*, rosyjski — *Awgust*

31 dn



Święty Wawrzyniec — niesie z pola wieniec

Jeśli w sierpniu
 Dni nie jasne,
 Będą stodoły ciasne.

Gdy grzyby wielkie
 Korzenie mają,
 Wielką zimę zapowiadają.

Pięknie w Wawrzyńca
 I Bartłomieja,
 Pięknej jesieni nadzieja.

Ze wszystkich świętych
 Najlepszy Jacek,
 Bo kto żyje,
 Dostaje placek.

W czas Wniebowzięcia
 Gdy pogoda służy,
 Dobre wina wróży.

Na św. Bartłomieja
 Ziemia twarda,



To będzie zima harda
 A jak miękka,
 To będzie lekka.

Jaka pogoda
 W Bartłomieja służy,
 Taką jesień wróży.

Gdy z początku sierpnia
 Spieka wszędzie,
 Tedy długa zima będzie.

Jakiś widzisz plon
 Na grzyby,
 Takieć żyta bez pochyby.

Święty Kajetanie
 Strzeż od deszczu sprzątanie.

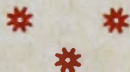
Na Wawrzyniec pokazuje,
 Jaka jesień następuje.

Święty Wawrzyniec
 Pokazuje do ziemniaków gości.

Pogoda na Wniebowzięcie,
 Ciężkie ziarno
 Wnet po sprzęcie.

W Przemienienie Pańskie
 Są burze szatańskie.

Susza w św. Bartłomieja,
 Mroźnej zimy jest nadzieja.



Sierpień wita! — Snyły żyta
 Poskładano już w stodole.
 Przy piosence idą żénce,
 Na pszeniczne idą pole.
 Idą w wierze, jak rycerze,
 I oblegli złote łany:
 Zetną niwę, sierpy krzywe,
 Jak tureckie jatagany.

Niwa chrzęści, Pan Bóg szczęści.
 I robota idzie składnie,
 Do wieczora, dożać pora,
 Niech ostatnia garść upadnie
 Aż pot leją, pieśni pieją,
 Lecz dożeli całą rzeszą!
 I do dworu, w mrok wieczoru.
 Z dożynkowym wieniecem śpieszą.

Hejże panie! miej staranie.
 By weseli byli goście!
 Lejże żywo miód i piwo,
 I pszeniczny chleb przynoscie.
 Spalić wolno beczkę smolną.
 Naród Boży niech pohasa:
 Grajku, bracie! wszak zagracie
 Serdecznego obertasa!